

Skazane
na wygnanie dzieci
z Powstania Warszawskiego

SYMPOZJUM



Skazane
na wygnanie dzieci
z Powstania Warszawskiego

SYMPOZJUM

FUNDACJA
Moje Wojenne Dzieciństwo

WARSZAWA 2004



Patron honorowy:
Prof. Lech Kaczyński Prezydent Warszawy

Koncepcja wydania i dobór wierszy:
Eulalia Rudak

Zdjęcia:
Od Autorów
Archiwum Dokumentacji Mechanicznej
Oddział Fotografii
Muzeum Niepodległości

Opracowanie graficzne:
Adrian Napiórkowski

Opracowanie redakcyjne:
Maciej Kowalczyk

Edycja ukazała się dzięki wsparciu finansowemu:
– Miasta Stołecznego Warszawy
– Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych

© FUNDACJA "MOJE WOJENNE DZIECIŃSTWO"

Patron medialny:
TVP Polonia



ISBN 8-3-918451-3-3

Druk i oprawa:
Drukarnia WN ALFA-WERO Sp. z O.O.
Warszawa, ul. Piaskowa 6/10

Spis treści

Powitanie 5
Eulalia Rudak

Referat I 9
*Polski holocaust.
Wypędzenia i śmierć
Bożena Krzywobłocka*

Referat II 21
*Kościół Wszystkich Świętych
w Warszawie
ks. Infułat Zdzisław Król*

Referat III 27
*Niemowlęta, dzieci i młodzież
w Powstaniu Warszawskim
Stanisław Soszyński*

Referat IV 39
*Wspomnienia,
których nie da się zapomnieć
Jan Ryszard Sempka*

Referat V 67
*Wspomnienie z Powstania
Warszawskiego 1944
ks. Zygmunt Wudarkiewicz*

Referat VI 73
*„Alles raus”
Stanisław Soszyński*



*Bywają chwile gdy najskrytsze
nawet serce milczeć nie może*

Maria Dąbrowska

*Szanowni Państwo!
Drogie Koleżanki i Koledzy!*

Nasze dzisiejsze spotkanie odbywa się w czasie święcenia rocznic dla Warszawy bardzo ważnych, bardzo drogich. Czczymy wydarzenia sprzed 60 lat, wydarzenia piękne, bohaterskie, patriotyczne, ale także wydarzenia tragiczne, ciężkie, trudne, najtrudniejsze dla nas, dla tych, którzy w dzieciństwie doznawali krzywd. Chcieliśmy zapomnieć o tym, że zabierano nam wolność wielokrotnie. W okupowanym kraju godzina policyjna ograniczała dodatkowo, zamykała nas w domach, a my coraz bardziej ograniczani coraz mocniej dążyliśmy do wolności. I nareszcie po kilku latach POWSTANIE. Ileż uczuć się wyzwoliło – od nadziei, euforii, wolności – po strach, rozpacz, cierpienie. Wszystko, co działo się podczas Powstania, było przecież także udziałem nas – wtedy dzieci.

Pamiętam, jak cieszyłam się, gdy mój siedemnastoletni brat trzeciego dnia Powstania przyszedł przekopami i dziurami w murach do naszej piwnicy – w hełmie z białoczerwoną opaską – i przekazywał otaczającym go sąsiadom wieści z frontu. Biła od niego radość, nadzieja, a nawet pewność, że jesteśmy wolni, będziemy niepodlegli. Zabawił tylko kilkanaście minut. Byłam dumna, że on walczy. Ja ze zdwojoną siłą starałam się robić co mogłam; pomagałam z innymi dziećmi tej grupie Powstańców, która wypędziła Niemców z naszego domu, gdy wdarli się, forsując granatem bramę... Powstańcom, którzy odbili Polaków z Kaczej 20, pędzonych przez Niemców jako żywą tarczę.

Kobiety i dzieci z naszego domu, Kacza 20, prały bandażę, ja je związałam w ruloniki, robiłyśmy szarpie do tamponów opatrunkowych, odnosiłam przez dziury w murach, które na

początku były zbyt małe, by dorosły mógł się precyzyjnie, jakie kartki od naszych „chłopców” do Powstańców na ulicy Okopowej 22, 22 B i 24. Rozpierała mnie radość, serce czułam takie wielkie, byłam... byliśmy wolni, chociaż nie można było wyjść na ulicę, bo pod ostrzałem. Sprawdzaliśmy to, wystawiając na kiju od szczotki kapelusz lub czapkę – zaraz dostawała kulkę. Ale „nasza Polska” była, żyła. Szóstego czy siódmego dnia Powstania, po południu, stojąc we wgłębieniu bramy przy ul. Okopowej 22 B, zobaczyliśmy, my dzieciaki z okolicznych domów, po drugiej stronie ulicy, przy pawilonie aptecznym (w czasie Powstania punkt sanitarny) kilkanaście osób w białych fartuchach z opaskami Czerwonego Krzyża i biało-czerwoną flagą na drzewcu, pod osłoną wysokiego domu, ustawieni w szeregu śpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła” i „Idzie noc”. Nie mogliśmy do nich pobiec, bo strona parzysta i jezdnia ulicy Okopowej była ostrzeliwana, ale we wgłębieniu bramy staliśmy na baczność i byliśmy szczęśliwi, oddychaliśmy wolnością.

Dnia 9 sierpnia brat mój znów przyszedł do naszej piwnicy, ale wieści były straszne – mordowano Wolę – dorosłych, dzieci, starców. Mordowano ludzi i burzono domy, nasze szkoły, nasze mienie, wszystko. Brat odszedł na swój ostatni posterunek. Zginął 11 sierpnia na Okopowej.

Nas wygnano 10 sierpnia po południu, mogliśmy wziąć tylko to, co „w rękę”. Kładliśmy więc na siebie kilka ubrań na raz, ja miałam na sobie kilka sukienek, a nawet kożuszek, chociaż to było lato, a do ręki trochę żywności – suchy groch, który potem się przydał, bo można było go żuć i długo nie chciało się jeść. Najpierw postawiono nas na przeciwko karabinów maszynowych. Potem popędzono zamordowanymi ulicami Woli, wśród trupów, palących się domów, tłących się ludzi przewieszonych przez parapety, wśród opuszczonych rzeczy wyrzuconych przez okna, wśród rozebranych barykad i koni z ogromnymi brzuchami – jakby spuchniętymi. Pędzono nas na Dworzec Zachodni ulicami Woli: Żytnią, Karolkową, Leszmem, Górczewską, Działdowską, Wolską, tu przy kościele Św. Wojciecha zabrano mojego ojca, kontuzjowanego na ulicy Wolność w pierwszej godzinie Powstania. Niemiec odpędził mnie od tatusia kolbą karabinu. Jeszcze kilka metrów ciągnęłam jego paczkę, ale porzuciłam ją blisko wiaduktu przy ul. Bema. Zostałam sama – moją mamę zamordowano na Pawiaku w 1941 r. Na szczęście szła z nami siostra ojca. Z ciocią wypędzono nas z naszej Warszawy do Pruszkowa, a następnie osadzono wraz z całym transportem dzieci i osób cywilnych z Powstania Warszawskiego w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau, gdzie nazywano nas bandytami warszaw-

skimi i oznaczono jako więźniów politycznych czerwonym winklem (trójkątem) z literą „P” koło numeru. Mimo wszystko byliśmy z tego dumni, że „my z Powstania”, „my polityczni”. Może dlatego udało się nam przeżyć gehennę obozu do stycznia 1945 roku. W styczniu, w przeddzień uwolnienia z obozu wypędzono nas z kraju do innych obozów koncentracyjnych w głębi Niemiec. Zostałam uwięziona w Blankenburgu koło Berlina i skierowana do SS Baubrigade do budowy barykad w Berlinie. Miałam wozić taczkami gruz. Nie miałam jednak siły tego robić. Oburzała mnie też perfidia Niemców, że nas z Powstania Warszawskiego kierują do budowania barykad w Berlinie. Nie chodziłam do pracy – rano się ukrywałam, a potem z młodszą koleżanką (Dzidzią – Teresą Lipską) wybierałyśmy z wysypiska pod kuchnią co grubsze obierki od kartofli, brukwi, liście kapusty, itp. Za to strzelano do nas solą w nogi i szczuto psem. Ale musiałam coś jeść, bo za karę, że nie mogłam wozić taczek, nie dostawałam kartki na zupę. Więziono nas do końca wojny.

Wróciliśmy do umęczonego kraju, do zburzonych lub spalonych domów, odarci, bosi, wygłodzeni i schorowani. Wszystko, co miałam po wojnie, to wyciągnięte z gruzów żelazne łóżko, znaleziona łyżka i poduszczyk z zebranych na gruzach piórek z porozrywanych pierzyn.

Podaję kilka własnych wspomnień, które obrazują życie dzieci w Warszawie w dniach euforii i klęski. Prawie z dnia na dzień traciłam i odzyskiwałam wolność, która dla mnie jest najwyższą wartością, opłaconą krwią i cierpieniami mojej rodziny.

Przeżycia wojenne tkwią w nas przez wszystkie lata, ale najbardziej boli to, że jeszcze dzisiaj z powodu wojen i rozgrywek politycznych ludzi dorosłych giną i są męczone dzieci. Czy to może my za mało o tym mówiliśmy, może trzeba było krzyczeć nieustannie, by obudzić sumienia ludzkie. Ogarnia mnie przerażenie, gdy słyszę o nowych środkach zabijania. W oczach moich budzą się wtedy obrazy, które widziałam, gdy wygnano nas z domu i pędzono ulicami Warszawy, koszmary z obozu koncentracyjnego, gdzie palono ludzi razem z dziećmi – czuję tę woń palących się włosów, skóry, kości.

Może to był błąd, że chcieliśmy o tym zapomnieć?

Eulalia Rudak

PLAMA

.....

*Krew z ulicznego bruku
Zostaje na sztandarze
Plamą, której nikt długo
Nie zetrze i nie wymaże.*

*Krew jest zawsze ta sama,
Wolność wszędzie ta sama.
Im czystszy, bielszy był sztandar,
Tym jaskrawsza ta plama.*

Marian Hemar



Polski holocaust¹. Wypędzenia i śmierć*HEJ, MASZERUJEMY PO OBOZIE*

*Hej, maszerujemy po obozie,
Druty tworzą tamę naszych dróg.
Aż zabłyśną nam wolności zorze,
Wtedy do Warszawy prowadź Bog.*

*Nie nosim lampasów, lecz szary nasz strój,
Nie nosim ni srebra, ni złota,
Samotnie ruszyliśmy w śmiertelny bój,
My Armii Krajowej piechota.*

*Samotna została Stolica wśród zgliszcz,
Granaty i bomby ją zryły,
W tulaczę wędrowkę musieliśmy iść,
Na straży zostały mogiły.*

*Aż kiedyś zahuczą nam surmy i spiż,
Znów nową okryjem Cię sławą,
Zaszumią sztandary, gdy wzniesiem je wzwyż,
Warszawo! Warszawo! Warszawo!*

*„Alina”, „Bogna”, „Ciotka”
(nazwiska autorek nieznane)*

Od wielu lat prześladowa mnie wizja nieistniejącego pomnika. Na nieistniejącym również obecnie rogu Grójeckiej i Opaczewskiej, na niewysokim postumencie siedzi na tobołku mały chłopczyk. Trze piąstkami oczy a z całej jego niedużej postaci przebija rozpacz i zagubienie. Takie właśnie zgubione dziecko widziałam dokładnie 11 sierpnia 1944 roku, gdy po straszliwej wręcz nocy spędzonej na Zieleniaku Ukraińcy wypędzili nas na ulicę Opaczewską. Malec zagubił się zapewne podczas brutalnego wysiedlania jego rodziny z Ochoty i czekał, że może w tłumie pędzonych w nieznaną ludzi odnajdzie kogoś bliskiego. Nie pozwolono mu jednak czekać, tylko pognano dalej. Kierunek okazał się nader prosty: kolejką EKD do Pruszkowa – stamtąd wiódł zaplanowany wcześniej przez hitlerowców szlak do obozów koncentracyjnych. Wymarzony przeze mnie pomnik malca to synteza losów tych mieszkańców Warszawy, którzy zgodnie z wytycznymi Hitlera mieli ginąć powolną śmiercią za drutami obozów koncentracyjnych. Było ich ponad sześćdziesiąt tysięcy starców kobiet i dzieci. W ostatnich miesiącach istnienia Trzeciej Rzeszy chroniliśmy własnymi ciałami podziemne fabryki broni, linie komunikacyjne etc. Reszta mieszkańców Warszawy, przymusowo deportowanych po kapitulacji, została wywieziona w głąb Niemiec, by stać się robotnikami przymusowymi w służbie zwycięstwa hitlerowskiego państwa stanu wyjątkowego.

Osobiście byłam podmiotem ludobójczych hitlerowskich reguł. Dostyc trudno zdobyć się na naukowy obiektywizm w ocenie tamtych przeżyć, ponieważ pozostawiły one ślad na

¹ Wbrew obiegowym opiniom pojęcie „holocaust” jest starsze niż druga wojna światowa. W pierwszej połowie XIX wieku używał tego pojęcia nasz znakomity ekonomista i działacz demokratyczny Henryk Kamieński, pisząc o unicestwieniu klasy robotniczej metodami głodzenia, pracy ponad siły oraz innych warunków życia w skupiskach tworzonych przez wielu kapitalistów.

całe życie. I każda akcja nacjonalistów niemieckich pobudza stare emocje².

Mimo wielu publikacji, w tym także tomów wspomnień i pamiętników, wciąż brakuje wielkiej syntezy dziejów Polaków z lat okupacji hitlerowskiej. Tak zwane przemiany demokratyczne w naszym kraju zmieniły gradację tematów z punktu widzenia ich poprawności politycznej. Jednym z zasługujących na szacunek sukcesów w dziedzinie nauk społecznych w Polsce Ludowej był rozwój literatury niemcoznawczej. Powojenna nauka polska nawiązywała zarówno do badań okresu międzywojennego, jak i dorobku prac socjologicznych i historycznych rozpoczętych w latach okupacji³. Stworzono nie tylko niezbędne warunki do badań tej problematyki, powołując do życia instytucje naukowe, jak na przykład Główną Komisję Badań Zbrodni Hitlerowskich, Instytut Zachodni oraz zakłady historii najnowszej na uczelniach i w instytutach PAN-owskich. Niezależnie od tego w muzeach zakładanych w obozach koncentracyjnych powstawały działy dokumentacji, zbierając źródła zarówno niemieckie jak i akta z procesów zbrodniarzy hitlerowskich. Zaisnialy także szerokie możliwości publikacji źródeł w specjalnie projektowanych seriach⁴. Cieszyły się one zasłużoną popularnością w szerokich kręgach społeczeństwa. Niezależnie od tego, odpowiadano wówczas publicystyką na rewizjonistyczne publikacje niemieckie. W ośrodkach badawczych na Zachodzie publikowano źródła i prace oparte o ujawniane urzędowe archiwalia niemieckie. Wielkim zainteresowaniem cieszyły się między innymi prace Martina Broszata, a zwłaszcza jego praca „Narodowo-socjalistyczna polityka w sprawie Polski 1939-1945” wydana w Sztutgarcie w 1961r. Broszat był członkiem komisji historycznej zajmującej się historią „wypędzenia Niemców z Europy środkowo-wschodniej”. Obnażył legendę o rycerskości Wehrmachtu, przypominając o egzekucjach zakładników już we wrześniu 1939 roku. Przybliżył też niemieckiemu czytelnikowi prawdę o poczynaniach Greisera i Förstera, prowadzących szczególnie własną politykę wobec Polaków. On też wyjaśnił rzekome złagodzenie kursu hitlerowskiego w stosunku do Polaków w 1944 roku. Pisał: „jak w setkach innych wypadków, tak i tutaj bezmyślny gwałt zburzył szczytki i możliwości ukształtowania przynajmniej w pewnej mierze znośnej nie-

² Por. *My, dzieci z łagrów*, red. Bożena Krzywobłocka, Warszawa 1998 oraz tomy wspomnień – plon konkursu „Moje wojenne dzieciństwo”, tom XII ukazał się w Warszawie w roku 2003.

³ W latach okupacji wielu uczonych prowadziło własne kroniki wydarzeń społecznych, z których największą sławę zyskały zapisy Ludwika Landaua.

⁴ Wypada tu przypomnieć choćby tylko Documenta Occupationis, wyd. Instytut Zachodni

mieckiej polityki okupacyjnej... również i ostatni rozdział niemieckiego panowania w Polsce polityka narodowego socjalizmu wobec Polaków nie tylko sama się doprowadziła do ruiny, ale przegrała też historyczny tytuł prawny do pozycji Niemiec na wschodzie.”⁵

Bogactwo publikacji niemcoznawczych ustąpiło niestety miejsca całkowitemu zaniechaniu problematyki prześladowań okupacyjnych Polaków – cały ciężar problematyki położenia opresyjnego został przeniesiony na ziemie będące pod władzą radziecką. Pozostały w obiegu wydawniczym tylko te prace, które zajmowały się męczeństwem i eksterminacją Żydów. Stawało się nawet politycznym nietaktem przypomnianie tak oczywistych prawd, iż Auschwitz został powołany w celu niszczenia ludności polskiej. Ten niedowład badań i publikacji, a nawet likwidacja zasłużonych placówek niemcoznawczych, spowodowały nie tyle brak zainteresowania tą problematyką, ile niemożność uczestniczenia i bieżących odpowiedzi związanych z obecnymi wydarzeniami politycznymi, jak na przykład manifestacje nacjonalistyczne na wystawie o zbrodniach Wehrmachtu, czy akcje Eryki Steinbach w sprawie Centrum Wysiedlonych⁶. Z drugiej strony zaczęto usprawiedliwiać ludobójczą akcję przeciwko rodakom na ziemiach zachodnich nowo utrwalaną legendą o masach mordowanych Niemców na Śląsku i na Pomorzu. O ile jednak akcja na radiostację Gliwice nie doczekała się uznania w kręgach społecznych w Niemczech, o tyle mnoży się ilość ofiar niemieckich w Bydgoszczy i na Pomorzu. Ma to usprawiedliwiać publiczne egzekucje inteligencji polskiej, jak i natychmiastowe brutalne wysiedlenia rodzin wymordowanych. Wysiedlenia te, aczkolwiek zapowiadane w publicystyce Hitlera i innych teoretyków rasizmu koniecznością „Lebensraumu” dla Niemców, robione były jednak w pewnym sensie spontanicznie, co uratowało wielu takich wysiedlanych od natychmiastowej śmierci. Koronnym przykładem przypadkowej deportacji zbyt pośpiesznej z punktu widzenia Gestapo może być sprawa Cyryla Ratajskiego, któremu udało się ująć do Warszawy i do końca życia mimo usilnych poszukiwań, pozostać nieodnalezionym przez Gestapo.

Jedna z zachodnioniemieckich legend dotyczy niewinności narodu wobec prześladowań Polaków, często bliskich sąsiadów, a nawet ludzi spowinowaconych. Prasa konspiracyjna pełna jest przykładów brutalnego traktowania wysiedlanych i okradania ich nie tylko przez przybyłych żandarmów, ale

⁵ M. Broszat, *Narodowo-socjalistyczna polityka w sprawie Polski 1939-1945*, Stuttgart 1961, s. 192

⁶ Centrum Wypędzonych [przyp. red.]

także przybyłych sąsiadów. Wysiedlenia miały charakter masowy. W marcu 1940 roku prasa konspiracyjna donosiła: „w połowie lutego przedmieście Włocławka, ubogi Grzybów, został otoczony kordonem wojska. Mieszkańcom kaza- no w ciągu godziny opuścić domy, nie pozwolono niczego zabierać, kilku usiłujących coś wynieść rozstrzelano. Przed- mieście podpalone spłonęło. Ewakuowaną ludność podzielo- no na dwie przypadkowe grupy, nie uwzględniając przy tym niepodzielności rodziny.

Ponadto również w połowie lutego z właściwego Wło- cławka wysiedlono około trzech tysięcy osób. Wysiedlenie przeprowadzono nocą, dając na opuszczenie domów czas około dwudziestu minut.”⁷

Wiadomości z Pomorza przekazywały dramatyzm sytuacji. „Aresztowania wielkanocne objęły około dziesięciu tysięcy kobiet, mężczyzn, młodzieży (w samym Toruniu około ty- siąc pięćset osób). 8 kwietnia rozpoczęła się druga fala aresztowań trwająca do 15 kwietnia. W Toruniu aresztowano około tysiąc osób. W Bydgoszczy około dwóch tysięcy. Set- ki ludzi w Grudziądzu, Chełmży, Brodnicy etc.”⁸. Na Pomo- rzu trwały również pierwsze akcje mordowania ludzi sta- rych, chorych, niedołączonych. Odbierano także dzieci nadają- ce się do zniemczenia, które wysyłano do specjalnych do- mów. Wysiedlenie odbywały się w warunkach urągających jakimkolwiek prawom. Wysiedlanych okradano, wyrzucano na mróz. Część spośród wysiedlanych umierała po drodze do Generalnego Gubernatorstwa. Fala wysiedleń poza miastami obejmowała także wsie, które miały być pozbawione zna- mion polskości. Po wysiedleniu całej wsi zasiedlano je przy- byłymi na ten teren Niemcami, którzy w sposób dowolny przeprowadzali komasację gruntów, niszczenie budynków gospodarskich etc. Po latach, gdy ludzie wracali do starych domostw, właściwie nie zastawali ani budynków ani inwen- tarza. Te zrujnowane gospodarstwa odbudowywano przez dziesiątki lat. Odbudowywali je ludzie zniszczeni ciężkimi chorobami i nadmiernym wysiłkiem podczas pracy u Niem- ców. Wiele z tych wsi nie podniosło się aż do lat ostatnich. Jak wielka była to akcja, mogą posłużyć się tylko jednym przykładem. Na terenie województwa plockiego wysiedlono 68 wsi, rujnując doszczętnie gospodarkę oraz istniejący układ stosunków rolnych.

Część Polaków wysiedlanych, niezależnie od zsyłanych do obozów koncentracyjnych czy mordowanych na miejscu, miała mieć zgodnie z hitlerowskimi zasadami krótki żywot, do czego miały się przyczyniać głodowe racje żywnościowe.

⁷ Biuletyn Informacyjny z 8 marca 1940r.

⁸ Biuletyn Informacyjny z 3 maja 1940r.

Dane dotyczące Polaków wysiedlanych przez hitlerowców w kraju Warty obejmowały sześćset trzydzieści tysięcy, na Śląsku osiemdziesiąt jeden, na Pomorzu sto dwadzieścia cztery tysiące ludzi. Historycy gdyńscy twierdzą iż ogólna liczba wysiedlonych z miasta już w październiku 1939 roku przekraczała sto tysięcy ludzi. Obozy przez które przecho- dzili wysiedlani miały na celu także zniszczenie biologiczne wysiedlanych. Umierały małe dzieci ze względu na warunki panujące w tych obozach. Często też rodziny szukały się ca- łymi latami, nie mogąc odnaleźć swoich bliskich. Regułą by- ło osadzanie części wysiedlanych w obozach koncentracyj- nych, a osadzanie dzieci w specjalnych obozach miało skłó- nić rodziców do podpisywania niemieckich list narodowo- ściowych. Historycy po wojnie podsumowali ogólną liczbę wysiedlanych i rugowanych Polaków w latach wojny na mi- lion siedemset dziesięć tysięcy, z czego na Warszawę po ka- pitulacji powstania przypada pięćset tysięcy. Jak wydaje się, mogą być to liczby zaniżone⁹; w takiej Warszawie nikt na dobra sprawę nie wiedział ilu jest mieszkańców, ze względu na dużą liczbę ukrywających się. Wielu spośród wysiedla- nych mogło parokrotnie podlegać rugom, ponieważ wysie- dlenie z Wielkopolski lub ze Śląska mógł ukrywać się w Warszawie, zostać wysiedlonym z mieszkania, a potem, po powstaniu, jeszcze ponownie.

Nikt nie obliczył, bo nie jest w stanie, powiedzieć ile mieszkań w dużych miastach polskich było zabierane i okra- dane przez hitlerowskich okupantów, zwłaszcza tam, gdzie tworzone getto czy niemieckie dzielnice mieszkaniowe. W Warszawie można było obserwować ponure pomysły ze zmianami granic getta. Gdy ludzie się już przeprowadzili zamieniając z Żydami swoje mieszkania, po paru tygodniach hitlerowcy zmieniali granice getta. Niektórzy właściciele chcieli choć na krótko wrócić do własnych mieszkań. Można było zaobserwować w Warszawie niekończące się korowody wozów pełnych mebli i tłumoków z pościelą ciągnących w różnych kierunkach. Warszawiacy uważali to za kolejne prześladowanie ze strony władz okupacyjnych. Wysiedlanie ludności żydowskiej na początku okupacji związane było z tym, że Niemcy nie do końca wiedzieli, co chcą z tymi ludźmi zrobić. Co prawda wysiedlano i przy okazji zabijano część ludzi już w pierwszych miesiącach, ale „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” zatwierdzono dopiero na konferencji Wannsee w styczniu 1942 roku, kiedy ruszyła

⁹ Podsumować liczby wysiedlonych próbował G. Łuczak w swej funda- mentalnej pracy: *Polska i Polacy w drugiej wojnie światowej*, Poznań 1993, chociaż wydają się być zaniżone w stosunku do wcześniejszych publikacji.

machina eksterminacji. Nie tylko na ziemiach polskich, ale również w całej Europie podbitej przez hitlerowców.

W Polsce obliczano ludność żydowską na trzy miliony osób i w celu wymordowania ich stworzono system wysiedleń z mniejszych do większych ośrodków – jeszcze w lipcu 1944 roku przewożono ludność z łódzkiego getta do obozu w Auschwitz-Birkenau. Był to jednak plan realizowany niezależnie od stosunku do Polaków. Przez cały okres okupacji niemieckiej trwały wysiedlenia Polaków w poszczególnych rejonach kraju. Planowe wysiedlanie rozpoczęto w listopadzie 1939 roku. Przedtem miały miejsca tak zwane dzikie wysiedlenia, których rozmiary możemy tylko szacować. Owe wysiedlenia były najczęściej wynikiem odwetu Niemców za opór polskich mieszkańców Ziemi Zachodnich w okresie września 1939 roku, rozeznania sąsiedzkiego w poglądach oraz chęci rabunku Polaków. Dotyczyło to na przykład Gdańska, ziemi kaszubskiej, ale i Gdyni, którą przedstawiano w propagandzie hitlerowskiej w roli przastarego portu niemieckiego.

Działacze Związku Wysiedlonych Gdynian twierdzą że do końca października 1939 roku brutalnie wyrzucono na bruk około stu tysięcy Polaków, skazując ich na nędzę i poniewierkę. Gdy po latach organizowano ich związek, zgłosiło się zaledwie pięciuset uprawnionych. Obliczono, że mimo szczegółowych planów władz administracyjnych III Rzeszy oraz zapалу dygnitarzy NSDAP wysiedlono osiemset trzydzieści pięć tysięcy Polaków. Według danych urzędowych niemieckich było to zaledwie 9% ustalonych pierwotnie kwot w planach szczegółowych. Nawet wówczas gdy dodamy to tej liczby trzydzieści pięć tysięcy Polaków zbiegłych do Generalnego Gubernatorstwa, to nawet wówczas nie wykonano ambitnych planów hitlerowców.

Polaków usuwano z mieszkań lub gospodarstw rolnych, a także majątków ziemiańskich w warunkach urągających wszelkim zasadom. Późna jesień i wczesna zima 1939/1940 odznaczały się srogim mrozem i dużymi opadami śniegu. Wysiedlonych trzymano pod gołym niebem, przewożono w nieopalanym towarowym wagonach bydłych, podróż w zimnie i głodzie trwała kilka dni. Eskortowane przez policję transporty stawały się pociągami śmierci – po przybyciu na miejsce przeznaczenia odnajdywano zwłoki kilku lub nawet kilkunastu osób. Akcja wysiedleńcza odbywała się w atmosferze grozy, bicia wysiedlanych i rabowania cennych przedmiotów oraz pieniędzy. Przy okazji zabijano stawiających opór wobec takiego traktowania.

W roku 1940 okupant powołał do życia obozy przesiedleńcze na przykład w Łodzi, Potulicach, Czechowicach, Toru-

niu i innych. W anty-sanitarnych warunkach, głodzeni, pozbawieni opieki lekarskiej wygnańcy chorowali, a śmiertelność była wysoka. Miano stamtąd natychmiast wywozić ludzi do GG, a stały się miejscem wielomiesięcznego wywożenia wysiedlonych. Niektóre spośród owych „tymczasowych” obozów przetrwały aż do wyzwolenia. A na przykład nazwa Potulice wywołuje dreszcz grozy pośród więźniów, głównie byłych dzieci.

Poza ziemiami włączonymi do Rzeszy specjalną akcją wysiedleń została objęta Zamojszczyzna mimo iż była formalnie częścią GG. Od listopada 1942 roku do sierpnia 1944 roku objęto tą akcją ponad trzysta wsi. Akcja wysiedleńcza na Zamojszczyźnie w planach hitlerowskich miała szczególne znaczenie, jako że przygotowywała teren pod wzorcowy okręg dla ugruntowania podstaw niemieczyny w środkowo-wschodniej Europie zwany potocznie Himmerlandem. Nowością owej akcji było to, iż brały w niej udział duże siły SS, Policji i wojska. Wysiedlenia łączono z pacyfikacją wsi, czyli z podpalaniem zagród, mordowaniem mieszkańców etc. Regułą było rozdzielanie rodzin. Dzieci natomiast wysyłano oddzielnie, poza teren Zamojszczyzny, najczęściej w nieopalanym zimą wagonach towarowych. Część dzieci zamojskich także skierowano do Auschwitz-Birkenau, gdzie zaszpiłowano kilka grup starszych chłopców. Jeszcze w sierpniu 1944 roku miałam osobiście okazję spotkać niektóre spośród wciąż żyjących dzieci. Wielki zryw społeczny zmierzający do ratowania dzieci zamojskich do tej pory budzi podziw dla odwagi i zdecydowania najszerszych kręgów społecznych i pomocy polskich kolejarzy, mimo iż nie udało się uratować setek zamrożonych maluchów. Dramat poszukiwań po wszystkich dworcach i bocznicach kolejowych wagonów z owymi dziećmi nie doczekał się niestety przedstawienia w żadnej sztuce teatralnej, czy filmie. Część chłopców Zamościa została wywieziona w głąb Rzeszy, gdzie poddawano ich pseudomedycznym doświadczeniom, a wśród nich specjalnej akcji reagowania na głodzenie i przekarmianie wygłodzonych.

Do walki o Zamojszczyznę ruszyły oddziały partyzanckie, które w znacznej części zahamowały proces wysiedleń. Ściągani na miejsce wysiedlonych osadnicy niemieccy obawiali się zemsty specjalnych oddziałów buszujących po wsiach. Ogółem oblicza się, że wysiedleniom podlegało na Zamojszczyźnie sto szesnaście tysięcy ludzi¹⁰.

¹⁰ Zamojszczyzna – Sonderlaboratorium. Zbiór polskich i niemieckich dokumentów z okresu okupacji hitlerowskiej, red. Cz. Majdacyk, T I i II, Warszawa 1977

Ostatnim wreszcie aktem masowych wysiedleń Polaków była akcja związana z represjami za Powstanie Warszawskie. W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku hitlerowcy masowo mordowali ludność cywilną, zwłaszcza na Woli i Ochocie. Potem ruszyła wielka akcja wysiedlania wszystkich mieszkańców lewobrzeżnej Warszawy. Trudno obliczyć precyzyjnie liczbę wypędzonych w 1944 roku mieszkańców. Określa się ją na około pięćset tysięcy, oraz na dwieście tysięcy ludność wymordowaną i zabitą w wyniku walk w mieście. Mieszkańcy mogli zabrać wyłącznie bagaż ręczny a opustoszałe mieszkania przed spaleniem i wysadzeniem w powietrze były systematycznie okradane przez specjalne ekipy wojska i SS. Po latach wydaje się mało prawdopodobne zniszczenie przeszło milionowego miasta w ciągu paru miesięcy. Ci jednak, którzy pamiętają przymusowy exodus pod karabinami hitlerowskimi i tragicznie opustoszałe miasto nie zapomną tych przeżyć i tych obrazów do końca życia¹¹.

Warto jest jeszcze dodać coś, o czym zapominają wszyscy zwolennicy powołania Centrum Wypędzonych. Po pierwsze, znaczna część mieszkańców Ziemi Zachodnich i Północnych opuszczała swoje mieszkanie albo ze strachu przed wkraczającą armią radziecką, albo też była ewakuowana przez własne władze. Ten proces ewakuacji rozpoczął się jeszcze przed wybuchem Powstania Warszawskiego, kiedy uciekali Niemcy cywilni, a zwłaszcza Volksdeutsche a potem trwał przez wszystkie miesiące kończącej się wojny. Po drugie, Niemcy nie chcieli zostawać na ziemiach polskich, zwłaszcza po zakończeniu konferencji w Poczdamie. Chcieli jak najszybciej znaleźć się w Heimacie. Warunki wyjazdu ludności niemieckiej były niesłychanie luksusowe – pozwalano zabierać wszystkie bagaże, często nawet wyposażenie mieszkań, a nad ewakuacją czuwali oficerowie alianccy. W tymczasowych obozach przesiedleńczych działały placówki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i wszelkie ośrodki hospitalizacji i pomocy słabym i chorym.

Z własnego doświadczenia wiem, iż na Dolnym Śląsku najgorszą karą dla ludności niemieckiej była groźba przymusowego zostawienia ich na miejscu. Dotyczyło to zarówno tych, którzy mieli jakieś przewinienia pod adresem Polaków na swoim koncie, jak i tych, którzy liczyli na rozpoczęcie życia na nowo z daleka od rodzinnych stron. Dopiero po la-

¹¹ Ogromna literatura wspomnieniowa dotycząca exodusu mieszkańców Stolicy ulega stopniowemu zapomnieniu. Sprzyja temu szkodliwemu procesowi obojętność środków masowego przekazu i brak należytej staranności w polityce informacyjnej MSZ. Również nasi twórcy niezbyt biorą sobie do serca przeżycia rodaków – na przykład problem „Robinsonów warszawskich” doczekał się uwagi ze strony Stevena Spielberga po kilkudziesięciu latach od nakręcenia pierwszego polskiego filmu na ten temat.

tach wracały sentymenty do miejsc urodzenia, dzieciństwa etc. Myślę, że warto wziąć pod uwagę także i ten aspekt sprawy. Sama mam życiowy epizod związany z grupą Niemek, które pracowały na rzecz kolonii polskiej w zamku Feldmarszałka Blüchera Dziś po latach mogę przyznać, że nakrzyczałam na te Niemki grożąc, że wstrzymam ich wyjazd do Niemiec. Panika, która powstała w ich środowisku uświadomiła mi, jak wielkie było to zagrożenie.

Myśląc o Centrum Wysiedlonych niekiedy warto jest przypomnieć realia okresu powojennego, które wprawdzie niekiedy bywały okrutne, ale także sprawiedliwe w stosunku do tych, którzy nie tylko rozpoczęli wojnę, ale przez wszystkie wojenne lata korzystali ze zdobyczy materialnych zrabowanych zwykłym ludziom.

DOM NASZ

*Bzy, twoją ręką, o matko,
sadzone dla mnie,
obmiata obcy wichler,
śnieg lodowaty łamie...
Sadziłaś lipy, leszczyny,
po stronie urwiska – krategus.
Teraz wyrazi obce
tamtą ziemię pocięły jak rebus.
Nie wiem, jak się nazywa,
nie wiem, jak się nazywa
dziś nasz dom, co nas miłośnie
od zła wszelkiego ukrywał!*

*Stawiałaś, matko, spichrze,
budowałaś dla mnie stodoły
na ziemi, którą szrapnel
dziobem piekielnym rozorał;
dobierałaś ziaren wybornych,
szlachetnych drzew ze szkółek,
nim przyszły dymy pożarów,
co zboża i sady potruły.*

*Troskę twoją, matko,
o różę – by pięknie zakwitły,
noszę w samotnym sercu
jak słowa najszczerzej modlitwy.
W duszy skostniałej od skaz,*

*czarnej od złego czynu,
mam twoje begonie, lobelię
mam gałązeczki jaśminu.*

*Jeżeli czasem spojrzę
tak jak w dzieciństwie – błękitnie
to tylko dlatego, że któryś
z twych kwiatów we mnie kwitnie;
twoją przeczystą czulość
wtedy każdy mi z oczu wyczyta,
tę, która mnie żywiła,
gdy ów kwiat w mym dzieciństwie zakwitał.*

*Założyłaś dla mnie park,
powiększyłaś obszar sadu,
żywiłaś mnie twoim sercem,
jedynym, jakie było bez zdrady;
od pierwszego naszego dnia
przez inne i poza mogiłę
promienie z twych wiernych oczu
sama miłość na mnie patrzyła.*

*Od bżów złamanych przez śnieg,
od osiedla, które rozkradł złodziej,
odwraca się żal i za tobą,
o matko, do raju wchodzi
i rozgląda się po twym niebie
i dziwi się po kryjomu,
że wszystko w tej Szczęśliwości
jest tak jak u nas w domu.*

Kazimiera Illakowiczówna



Referat II

Kościół Wszystkich Świętych w Warszawie

TRUDNO ZAPOMNIEĆ

*Droższa dziś sercu twa wielkość w gruzach
ponad mizerne życie w niewoli
przed twym męczeństwem klękam Warszawo
przed sanktuarium relikwii świętych*

*tu żywe ciągle odgłosy burzy
wrzawą dni tamtych pierś napelniają
gdy gigantyczny szturm egzekucji
na oczach wszystkich zabijał miasto*

*zagrajcie surmy dwustu tysięcy
żałobny nokturn tragicznych zdarzeń
niech zagrzmią basy bitewnym zgiełkiem
bój się rozpocznie Marsylianką*

*...niech spoczną w ciszy snu wieczystego
czas wolno goi krwawiące rany
ust nie kneblować krzywdom – niech krzyczą!*

Stefan Arbatowski

Dzieje Narodu i Kościoła Katolickiego w Polsce są ze sobą ściśle związane. Dotyczy to także parafii Wszystkich Świętych w Warszawie, na Grzybowie. Budowa kościoła i powstanie parafii związane są z powstaniem styczniovym. Pierwsza msza Św. odprawiona została 1 listopada 1866 roku.

Plac Grzybowski i nasz kościół były świadkami tragicznych wydarzeń w 1904 roku. Władze carskie przygotowujące się do wojny z Japonią ogłosiły mobilizację i wielu młodych Polaków musiałoby wyruszyć na wojnę przeciw Japonczykom. W niedzielę, 13 listopada 1904 roku po nabożeństwie, kiedy tłum wyszedł z Kościoła, członkowie PPS rozwinęli sztandary, uformował się pochód. Manifestacja ruszyła w stronę Bagna. Z ulic Próżnej i Twardej, gdzie zgromadziły się oddziały wojska i policji, otworzono ogień karabinów. Manifestanci odpowiedzieli ogniem z pistoletów. Ruszył atak konnych żandarmów. Na schodach kościoła zostało kilku zabitych i wielu rannych. Ludzie ukryli się w otoczonym przez wojsko kościele.

Kolejne manifestacje, 28 stycznia i 4 maja 1905 roku, nie miały już tak dramatycznego przebiegu. Wiemy, że w latach 1914-1920 wielu parafian zginęło w obronie Ojczyzny. Niektórzy z nich upamiętnieni zostali na tablicy w portyku kościoła.

Prawdziwie trudne dni dla naszego kościoła zaczęły się w czasie oblężenia Warszawy w 1939 roku. Zabudowania uległy poważnemu zniszczeniu. Zawaliło się sklepienie, zasypując kościół dolny. Pożar trwał przez kilka dni. Spaliły się organy, zabytkowe obrazy i wyposażenie świątyni.

Po wprowadzeniu administracji niemieckiej parafia w znacznej mierze znalazła się w obrębie getta. Na początku grudnia 1940 roku poświęcono tymczasową kaplicę przy ulicy Siennej 81 m 3. Tam też umieszczono kancelarię parafialną. W czasie Powstania Warszawskiego w 1944 roku

bomby lotnicze i pociski artyleryjskie dokonały dalszej dewastacji zabudowań. Zginęło wiele pamiątkowych tablic, między innymi Tytusa Chałubińskiego oraz pomnik upamiętniający Stanisława Moniuszkę.

Najważniejszą częścią tej trudnej historii naszej parafii stanowi troska o człowieka, próba niesienia pomocy tym, którzy przez władze faszystowskie skazani zostali na śmierć. Wiemy to z ustnych przekazów. Brak jest dowodów pisanych i coraz mniej jest tych, którzy mogliby dać świadectwo o tamtych wydarzeniach – ilu Żydów – tak dorosłych jak i dzieci – udało się uratować przez starania ludzi działających przy kościele Wszystkich Świętych w Warszawie.

W akcji tej uczestniczyli Ks. Prałat Marceli Godlewski, Ks. Antoni Czarnecki, Ks. Tadeusz Nowotko i inni kapłani. Opisane zostały domy dziecka prowadzone przez Siostry Rodziny Maryi, do których kierowane były przez Ks. Prałata Marceliego Godlewskiego dzieci żydowskie. Wiemy, że dzieci te przewożono do domów w Aninie, Kostowcu, Płudach i Brańszczyku.

Pragnę przypomnieć szczególnie dwa przypadki, które opisała nam S. Aleksandra ze Zgromadzenia Sióstr Rodziny Maryi, pracująca ponad 30 lat w Parafii Wszystkich Świętych w Warszawie. Jako młoda siostra pracowała w domu Sióstr Rodziny Maryi w Białolece. Przyjęła od Księdza Godlewskiego żydowskiego chłopca, którego przerzucono z getta przez mur. Dziecko chwycił w rozpostartą sutannę Ksiądz Godlewski. Chłopiec przebywał w domu Sióstr kilka lat, był bardzo zdolny, można powiedzieć genialny. Zmarł w wieku kilku lat, prawdopodobnie z powodu guza mózgu.

Drugi przypadek: S. Aleksandra przewozi dwóch żydowskich chłopców do domu w Kostowcu. Do autobusu wsiadają Niemcy, którzy' przeprowadzają rewizję, szukają Żydów. Siostra przytuliła do siebie szlochających chłopców, którzy swoim zachowaniem wyraźnie zdradzali, że są Żydami. Żandarmi nie zauważają tego, dzieci dotarły do domu w Kostowcu.

Siostry Rodziny Maryi znają wiele podobnych przykładów. Przed kilku laty rozmawiałem z Siostrą, która pracowała w Brańszczyku. Siostra ta – nie znam imienia – opowiadała cudowne zdarzenie z czasów okupacji. Niemcy sprawdzają dom dziecka. Przełożona domu przyjmuje Niemców w pokoju, w którym pod dywanem znajduje się wejście do piwnicy – schowka gdzie ukryte są dzieci żydowskie. Odwaga, bezczelność czy Boża Opatrzność; dzieci ocalały. Strzępy naszej wiedzy otrzymanej czasem przypadkowo wprowadzają nas w tajemnicę tamtych dni.

Przełożona Generalna Sióstr – Matylda Geter – z którą rozmawiałem wiele razy w ostatnich miesiącach Jej życia, opowiadała mi o wielu takich zdarzeniach. To ona wydawała polecenia o ukrywaniu dzieci żydowskich.

Praca duszpasterska Księdza Antoniego Czarneckiego, który po negocjacjach z władzami okupacyjnymi, prowadzonych przez Księdza Arcybiskupa Antoniego Szlagowskiego, prowadził pracę duszpasterską na terenie getta, jest dotychczas mało znana. Dokumenty w Kurii Warszawskiej spłonęły w czasie Powstania Warszawskiego. Był tam dokument nominujący Ks. Antoniego Czarneckiego na duszpasterza. W historię tego duszpasterstwa wpisana jest figurka Matki Bożej, która obecnie znajduje się przy kościele św. Katarzyny na Służewie. To z tą figurką wychodził z getta Ks. Czarnecki przed wybuchem powstania. Według przekazanej tradycji odprowadzony był do bramy getta przez grupę około 100 osób, którzy z płaczem żegnali swego duszpasterza.

Kościół dla wielu ludzi z getta był bramą do wolności. Wielu z nich docierało do różnych miejsc, szczególnie w Mińsku Mazowieckim. Do nich należy Ludwik Zamenhoff, wnuk twórcy esperanto, który razem z wieloma Żydami przebywał właśnie na plebani parafii Wszystkich Świętych w Warszawie. Plebania cała służyła Żydom. Przebywał tu profesor Ludwik Hirszweld z rodziną, który w swojej książce pt. *Historia jednego życia*, zamieścił rozdział *W cieniu kościoła Wszystkich Świętych*. Szkoła, że książka ta jest mało znana w Polsce i na świecie. Jest to mądra książka, która uczy ludzi zachowań w trudnych sytuacjach. Z tych ludzi, których na plebani było wielu, spotkałem tylko dr Ludwika Zamenhoff-Zaleskiego.

Dumni jesteśmy z zachowań naszych duszpasterzy i parafian w tamtych dniach.

„Ten, kto uratuje jedno życie, to tak jakby uratował cały świat” – nasza parafia ma udział w ratowaniu tego świata w latach krwawej okupacji i terroru hitlerowskiego.

Z lewej strony Kościoła umieściliśmy tablicę:

PARAFIA WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH
UPAMIĘTNIA POLAKÓW RATUJĄCYCH ŻYDÓW
W LATACH 1939-1944.

Wiemy, że oni nie czynili tego, aby ich zapisać w historii. Oni byli ludźmi, ochrzczonymi, oni byli Polakami. My zaś chcemy dać świadectwo dla następnych pokoleń.

*Warszawo! Twe serce krwawi
– wtrącona w czeluść płonącej grozy
zapal obrońców imię twe sławi*

*płomień wolności nam roznieciłaś
płonęłaś wielka w samotnym zrywie
wsluchana w burze powstańczych zmagani
na barykadach się dopełniłaś
z ciebie dziś czerpać nam pokoleniom*

*syćcie obrońcy zgłodniałe oczy
gruzami – one chlebem powszednim*

Stefan Arbatowski

PRZYJMIJ DANINĘ KRWI

*Dzisiaj pamięcią ku tobie sięgam
kiedy ginęłaś w bezmiarach gruzów
dla nas doświadczeń jesteś skarbnicą
wolnego bytu niezniszczalnego*

*osamotniona, na łup rzucona
rozszarpywana przez dziką przemoc
niosłaś pochodnie świętego ognia
do panteonu wolnych narodów*

*zamordowana
– los twój sumieniem wstrząsa narodów
i będzie wstrząsał oskarżycielski...*

Stefan Arbatowski



Referat III

Niemowlęta, dzieci i młodzież w Powstaniu Warszawskim

PIEŚŃ NAJPROSTSZA

*Leżą pod miastami, pod gruzem, pod zwałem,
zgruchotani, zasypani, przywaleni
ci, co mnie kochali, ci, których kochałam
na polskiej ziemi.*

*Ręce rozrzucone, oczy wypalone,
piersi płaskie jak płyty.
Już póki żyję, więcej nie zabiją
tętna rozbite!*

*Jakże z oddalenia pieśń na inną zmienić,
jak mi tęsknić inaczej?
Tych, których od mała w ojczyźnie kochałam,
tam nie zobaczę.*

*Dokądkolwiek – ścieżka, wszędzie ból mój mieszka,
wieńcem imion nie krwawi...
I serce na strzepy rozdzierają sępy
tu czy w Warszawie!*

*Leżą pod miastami, pod gruzem, pod zwałem,
zgruchotani, zasypani, przywaleni
ci, co mnie kochali, ci, których kochałam
na polskiej ziemi.*

Kazimiera Illakowiczówna

„Potem wyprowadzili nas wszystkich „na Płockie” (ulica Płocka) i tam nas wszystkich rozstrzelili. Zabili mamę, ojca, babcię i moją siostrę. Miała lat 6. Zabili wszystkich innych ludzi¹² „.

Tak było. Ranny chłopiec zdołał wydostać się z Warszawy i w Święcicach pod Józefowem (sochaczewskie) złożył to zeznanie, które zanotował Edward Serwański. Za to, że chcieliśmy odbudować Państwo Polskie według naszych potrzeb i według naszej woli, i dzięki naszym żołnierzom obłąkańcze rozkazy A. Hitlera skazały na śmierć (a dał mu na to czas Józef Stalin) milion mieszkańców Warszawy. Zaczęto ten mord od Woli i Ochoty. Na żadnym wojskowym froncie świata nie ma ciężarnych kobiet, niemowlaków, dzieci i starców. Tu byli. Okrążeni przez czterdzieści tysięcy dobrze uzbrojonych Teutonów byli metodycznie niszczeni setkami ton żelaza i stali. Czołgi i samoloty, ciężkie działa i rakiety, miotacze ognia i miny samojedne. Cała najnowsza myśl technicznego niszczenia człowieka została użyta w tej walce. Niemiecki korespondent relacjonował: „żadne miasto świata nie doświadczyło podobnego piekła”. I w tym piekle rodziły się dzieci.

Rankiem 2 września 1944 roku, na dwie godziny przed wtargnięciem Niemców do „naszego” domu, sąsiadka, p. Hindenmitowa, urodziła synka. Wydawać by się mogło, że to maleństwo nie miało żadnych szans na przeżycie, a jednak... Absolwent Politechniki Warszawskiej 2 września 2004 skończy 60 lat. Urodzić się w murach tamtej walczącej Starej Warszawy to wydarzenie niezwykle. Jednak w całej walczącej Stolicy rodziły się dzieci. Pamiętały o tym powstańcze władze. Na zlecenie Biura Informacji i Propagandy KG AK wy-

¹² Documenta occupationis teutonicae, T. II Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r., Instytut Zachodni, Poznań 1946, s. 50. Protokół nr 146 z dn. 7 X 1944. Świadek Leszek Trojak, lat 7, zam. Warszawa, ul. Skierniewicka 34.

drukowano plakat Mieczysława Jurgielewicz z napisem „Mleko dla dzieci. One muszą przetrwać” i rysunkiem dziewczynki trzymającej szklankę mleka. Jednak cały trud przetrwania spadł na matki i ojców. Edmund Osmańczyk „Gor” pracownik Polskiego (powstańczego) Radia, który powstał na falach eteru „Kto raz odetchnął wolnością powstańczej Warszawy, ten nie jest w stanie być znów niewolnikiem” – został 20 maja 1944 ojcem synka Łukasza. E. Osmańczyk razem z żoną Rutą prowadzili dziennik. Pod datą 6 września 1944 zapisali: „o 11.30 bomby uderzyły przed i w nasz dom. Rozpoczął się czwarty tego dnia nalot. Nagle zadygotał cały nasz dom. W sekundę później nowe uderzenie i trzask walących się stropów i czarność od dymu gryzącego, duszącego. Przycisnąłem Cię, Łuczku, do piersi, by zasłonić od dymu. U góry w ścianie było okienko na klatkę schodową, gdzie prześwitywało czyste powietrze. Wszedłem więc na krzesło i trzymałem Cię wysoko, Synku, byś miał czym oddychać”.

I dalej...

„Na maszynie spirytusowej, ugotowała Mamusia Synkowi mieszankę: kleik z mączką Nestle, a tu „krowa ryczy”. Wpadamy pod siódmy do bramy. Podmuchała nas na schody. Sześć detonacji bardzo bliskich rozrywa powietrze. To „krowie kufry” uderzyły w tył domu, Chmielna 6, skąd właśnie uciekliśmy. Zmęczeni, zziębnięci z maleńkim Powstańcem na rękach, pchając wózek z walizkami i pościelą dotarliśmy na Bracką. Znowu nalot. Ja robię rekonesans Widoku i po Brackiej. Za pieluszkami. Znalazłem jedną.”

Pani Maria Dega – wspaniała Kobieta, Matka i lekarka, w swojej książce „Dni dobre i złe 1906-1996” (Warszawa 2003) napisała: „W piwnicy życie dla nich (córeczek) było bardzo interesujące. Pełno było dzieci nie tylko z naszego domu. Od razu przebito otwory do piwnic sąsiednich domów, by ułatwić przejście. Byłam bardzo zajęta Michałkiem. Nosiłam go w koszyku. W tym czasie było już przecież wiele trudności w życiu codziennym. Jedną z głównych – brak wody. Mieszkańcy zaczęli od razu kopać studnię na podwórzu. Praca była ciężka, trwała kilka dni, w końcu woda się znalazła, była żółto-brązowa, ale była. Nigdy tam innej nie wydobyto. Taka woda służyła do przygotowania potraw, do picia, kąpania Michałeczka, prania pieluch. Gorzej było z przygotowaniem mieszanki dla Michała. Dokarmiany był od 2 sierpnia. Aczkolwiek pokarmu miałam bardzo mało, jednak do 1 października przeciągałam to karmienie, choćby odrobinę. Woda czysta znajdowała się przy ulicy Lwowskiej po drugiej stronie w pobliżu Architektury. Mieszkała tam Ita Umbreit-Baurska. Pierwszą porcję ona mi przyniosła. Potem

co dzień tam chodziłam po 1 – słownie jeden – litr wody dla niemowlęcia. Mieliśmy litr wody, ale co dodać do niej, żeby się zrobiła mieszanka. Kiedy Powstanie się zaczęło, miałam w domu resztę mleka i jedną małą puszkę mleka kondensowanego. Jakże szybko się skończyło. Nasz dobry dozorca czynnie się włączył w poszukiwania, ale bez skutku. Byli i tacy, którzy dowiedziawszy się o naszej wielkiej potrzebie, chcieli na tym zrobić dobry interes. Żądali za maleńką puszkę mleka po 10 kg mąki i cukru. Raz otrzymałam mleko ze zrzutów rosyjskich. Dotarło do p. Berlingowej i ona mi przyniosła część przelaną do szkła od weka. Miałam mleko kondensowane z całego świata – prócz polskiego – szwajcarskie, holenderskie, duńskie, kanadyjskie, greckie, niemieckie i rosyjskie. Puszki były nieraz w opłakanym stanie, zardzewiałe, bez napisów, nigdy nie wiedziałam, jaka jest koncentracja. Nigdy jednak nie miałam wyboru, nigdy nie miałam zapasu choćby dwóch puszek naraz. Przygotowałam więc mleko dla dziecka na oko, polecając Matce Bożej troskę o to, by nie zaszkodziło. Pamiętam, że z jednej puszki na powierzchni mleka po ostudzeniu układała się warstwa jakby stearyny na grubość 1/2 cm. Jednak dziecku dałam, ufając opiece Bożej. Jak to się stało, że Michałek przeżył? Nie znam żadnego niemowlęcia z tego czasu, które będąc tak długo w czasie Powstania w Warszawie – przecież do ostatniego dnia i w jego wieku – zdołało się uratować.”

Pani Janina Czaplinska „Aleksandra” wspomina w swojej relacji: „W dniu 14 września w czasie Powstania Warszawskiego w domu-kamienicy przy ulicy Hożej 14 zginęła z mężem Tadeuszem Stankiewiczem i jedenastomiesięcznym synkiem Maciusiem Anna Rataj-Stankiewiczowa, córka Macieja Rataja, Marszałka Sejmu RP w okresie międzywojennym.

Jako łączniczka Biura Prezydialnego Delegata Rządu RP na Kraj miałam częsty kontakt z Jego pierwszym zastępcą Adamem Bieniem „Bronowskim” i członkami rządu podziemnego, pracującego w czasie Powstania na terenie Śródmieścia Stolicy. I stąd m.in. z dyrektorem Departamentu Finansów Wincentym Bryją „Halskim”. „Halski” w czasie Powstania zachorował ciężko (na politis) i przebywał w szpitalu przy Orłowskiego na rogu Książęcej. Zastępował go w pracy Tadeusz Stankiewicz wraz z żoną Anną. Stąd mój kontakt z rodziną Macieja Rataja. Widywałam się z nimi dość często i ze względu na małego Maciusia, bo jak „nasi chłopcy” żołnierze AK dowiedzieli się, że rodzina znanego, szanowanego i kochanego Marszałka (Sejmu) mieszka na Hożej, a oni strzegli zapasów żywności w Spółdzielni Mleczarskiej na Hożej 64 ustanowili mleko dla Maciusia. Odtąd

Pani Hania dostawała przydział żywności a zwłaszcza mleko i masło dla Synka. W przeddzień tragicznego dnia umówiłam się z pp. Stankiewiczami, że będę u nich przed godziną 8 rano z uwagi na zaczynające się (od tej godziny) bombardowanie od 8 do 14, z przerwą na obiad do 15 i potem znów do 20 wieczorem. Nazajutrz... ponownie na Hożej znalazłam się około godziny 15.00. Ale już rozpoczęło się bombardowanie. Wpadłam do piwnicy – schronu przy ul. Hożej 18 znanej mi również z kontaktów służbowych. Przebywając w schronie, poczuliśmy, że nasz dom chwieje się – zrzucone bomby musiały upaść gdzieś bardzo blisko. Po przelocie samolotów, kiedy wyszłam na Hożą, domów 16, 14, 12 już nie było, tylko same gruzy. [...] Opamiętałam się wtedy i postanowiłam zawiadomić o tragedii Kierownictwo Walki Cywilnej, które mieściło się przy ulicy Wilczej.

Żołnierze-ratownicy mogli pracować tylko nocą, bo wtedy ustawały bombardowania. Dotarli do ludzi po dwóch dniach. Nikt z nich już nie żył”.

Relacja kończy się stwierdzeniem: „W czasie Powstania wszyscy czuliśmy się wolni. Walczyliśmy o utrzymanie tej Wolności i Niepodległości umiłowanej naszej Ojczyzny – Polski”.

Wstrząsające. Żywnienie niemowląt było problemem we wszystkich dzielnicach walczącej Warszawy. Pamiętam, że w domu, Freta 11, w szpitaliku prowadzonym przez dr Matusiakową spisywano codziennie listę potrzebujących mleka w proszku. Zmagazynował je p. Gąsecki, właściciel apteki przy Freta 16, twórcą przedwojennych proszków przeciw bólowi głowy „z kogutkiem”. Wybuchały kłótnie na tle nierówności podziału przerywane ostrzałem lub nalotem. A przecież był jeszcze problem czystości tych maleństw, ich kąpiele i spacerów. Oddajmy głos p. Dedze.

„W godzinach rannych między 7.00 a 7.30 zawsze ustawał ogień. Niemcy mieli przerwę śniadaniową.”

Dodajmy, że lotnictwo niemieckie bombardujące Warszawę miało przerwę obiadową od 13.00 do 15.00. Piechurzy saperzy i grenadierzy pancerni jedli kolację między 19.00 a 19.30.

Pani Dega: „Wtedy (czyli rankiem) był czas kąpiele Michała. Gospościa grzała szybko wodę w mieszkaniu na piętrze. Ja za chwilę biegłam za nią z dzieckiem, szybko namydliłam, opłukałam w tej żółtej wodzie i w ręczniku i kocu pędem z powrotem do piwnicy, gdzie kończyłam toaletę. Mimo stałego wyczekiwania czy aby Niemcy nie skończyli już posiłku, nie zrezygnowałam z tej czynności. Skóra dziecka była zdrowa. Miejscem spaceru były teraz schody (uprzednio wzdłuż oficyny) prowadzące z bramy przez podwórze do

piwnicy. Któregoś dnia zaczęła się strzelanina. Ukryłam się z dziećmi w zagłębieniu piwnicznym ganku, nie mogłam już dobiec do naszej kotłowni. Wtem granatnik upadł do naszego podwórka. Ofiar w ludziach na szczęście nie było. Rozerwało tylko kurę spacerującą po podwórku, której strzępy znalazły się potem na sklepieniu bramy. W piwnicy zrobiło się ciemno od dymu i pyłu. Całym ciałem rzuciłam się na koszyk z dzieckiem, chcąc uchronić je od uduszenia pyłem”.

Tak było. Opis eksplozji rozrywającej kurę przypomina mi przekaz rodzinny dotyczący podobnego wydarzenia. Siostra Mamy, uciekając ze wsi z mężem i synkiem (lat 5) przed linią frontu, 1 sierpnia przyjechała rano do Warszawy, bo jak sądzili, „w dużym mieście będzie bezpieczniej”. Zamieszkali na Czerniakowie w wynajętym uprzednio mieszkaniu. a posesji tej było pełno drobiu. Brat (cioteczny) przyzwyczajony do obcowania z kurami karmił je, stojąc pośrodku stadka. Niespodziewanie spadł na nich pocisk moździerza. Upadł pod nogi dziecka. Po eksplozji, kiedy opadły dym i kurz ciotka, podniosła dziecko leżące wśród zmasakrowanego stada. Chłopiec był nieprzytomny, ale po chwili okazało się, że nie jest ranny, ani nawet skaleczony. Natomiast cały drób trzeba było zakopać. Był tak gęsto naszpikowany odłamkami, że nie nadawał się do zjedzenia.

Pani Dega: „Wiedzieliśmy już, że zniszczenie Warszawy przebiega systematycznie. Kwadrat po kwadracie, co dzień któryś nam bliższy ulegał zagładzie. Ile to jeszcze dni, nim dojdą do nas? Tyle dookoła już spłonęło!”

Dziś wiemy, że Śródmieście Walczącej Warszawy zostało przez Niemców podzielone na 87 sektorów. Ten podział miał służyć (przed Powstaniem) do planowego wyrzucenia mieszkańców, a w czasie Powstania do skutecznego prowadzenia ognia artylerii czy nalotów. W tym celu wydrukowano kolorowe mapy. Po Powstaniu system z map przeniesiono na domy, znacząc nim kwartały przeznaczone do kolejnego wysadzenia. I tak wg zbioru zdjęć żołnierza niemieckiego Joe J. Heydeckera budynek (który na szczęście ocalał) róg ulic Szpitalnej i Przeskok został oznaczony jako B 41, co dokładnie odpowiada systemowi z mapy.

A Powstanie trwało. Rozsypywał się dom po domu, ulica po ulicy. A Powstanie trwało. I jak to celnie zauważył spiker Polskiego (powstańczego) Radia – „Tędy szła wielkość Narodu.”

Dorośli w walce i trwaniu tworzyli dom wg „naszych potrzeb”. Dzieci i młodzież dzielnie im w tym sekundowały. Oczywiście nie tak humorystycznie, jak przedstawiał to rysunek w mokotowskim piśmie „Baszta” z dnia 19.08.44, w podtytule „Pismo żołnierskie”, na którym bobas w wózku,

unosząc rękę z butelką zatkaną smoczkiem, woła: „Ja też chcę na wypad...” Wystarczy przecież przypomnieć rolę gońców punktów sanitarnych, łączników wojskowych, roznosiciele prasy i poczty, którą kanałami dostarczano do obłożonych dzielnic. Dziesiątki tysięcy listów doręczonych w skrajnie trudnych warunkach – oto plon tej służby.

W przeddzień 37. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego w gmachu CKSD przy ówczesnej ul. Rutkowskiego została zorganizowana wystawa fotograficzna obrazująca udział dzieci w Powstaniu. Większość z 34 zaprezentowanych prac nie była nigdy publikowana. W recenzji („Słowo Powszechne” z dnia 11.08.81) p. Joanna Kempieńska zanotowała „Mali bohaterowie uwiecznieni na zdjęciach przez sprawozdawców polowych to najczęściej kilku- lub kilkunastoletni gazeciarze, łącznicy to także dzieci dźwigające w plecakach amunicję, choć był sierpień – wakacje – chłopcy wyspecjalizowani w niszczeniu czołgów, harcerze wybierający listy (w domyśle ze skrzynek pocztowych) i aż się wierzyć nie chce, że w tamtych straszliwych dniach poczta była obsługiwana bardzo regularnie”. Z wywiadu dziennikarki dowiadujemy się, że większość zdjęć wykonał wpisany na zawsze w pamięć Warszawy „Kris” – Sylwester Braun, który ocalał zrobione przez siebie zdjęcia, wywożąc je po wojnie do Kalifornii, by następnie przekazać je Stolicy.

Młodociani łącznicy Żoliborza, którzy sami określili się jako „szczury kanałowe”, traktowali to sformułowanie jak zaszczyt i honor. Walczący również na Żoliborzu w 2. kompanii IV batalionu OW PPS im. J. Dąbrowskiego kpr. pchor./ppor. Lech Lipiński ps. Lipek, Lech (zm. w 1975 r.) zanotował: „coraz trudniej przychodziły słowa otuchy i wiary, którymi trzeba było krzepić „młodszych kolegów”, w większości wypadków dzieciaków. Chociaż po półtoramiesięcznych walkach nie można było już tych chłopaków nazywać dziećmi. Termin „młodszy kolega” jest tu zupełnie właściwy.

W kanałach były także dzieci nieświadome swej sytuacji. Artystka plastyczka p. Zofia Matuszczyk-Cygańska przeniosła (uprzednio uśpione) swoje maleńkie dzieci z płonącego Starego Miasta na Żoliborz. Opis tej upiornej drogi przekracza wyobraźnię. A jednak doniosła je całe i zdrowe. Jak inni, którzy szli drogą do Śródmieścia.

Mój przyjaciel Zdzisław Żychliński „Gruby”, który zginął, niosąc meldunek, nie może tu nie być wspomniany. Tak jak setki innych „Zawiszków”, którzy miesiąc przed Powstaniem nanosili na zrobionych przez siebie szkicach-mapkach: studnie, dodatkowe przejścia, wartownie i posterunki wroga, bunkry i wszystkie inne informacje znajdujące się na wybra-

nym odcinku miasta. Następnie te dane (już po wybuchu Powstania) były nanoszone na mapy Warszawy. „Czyniono to w zakładzie późniejszej „Skali”, przy pomocy grupy architektów. Wśród nich znajdował się wybitny konserwator J. Zachwatowicz. Mapy służyły dowódcom odcinków w czasie walki.

Dziewczynki. Marysia Węgrzynowska, córeczka krawcowej z Freta 11 zrazu szła opaski biało-czerwone, a potem do upadku dzielnicy kroila bandaż z ofiarowanych poszew i prześcieradeł. Albo Jurek Kurnicki – prowadził pamiętnik. Poprosił o wpis. Narysowałem jadący po gruzach czołg z informacją: Powstanie Starówka 1944.

Generał „Bór” Tadeusz Komorowski w rozkazie nr 9, już jako Naczelnny Wódz, w pierwszą rocznicę Powstania, czyli 1 sierpnia 1945 r. napisał w akapicie dotyczącym walczących w Warszawie: „W szeregach walczących obok doświadczonego żołnierza stał młodzieniec, często nieletni chłopak, obok mężczyzny kobiety i dziewczęta, starzy i młodzi wszyscy jednakowo oddani walce”.

Godzi się tu przypomnieć, że Generał nie ostrzegł swojej ciężarnej żony, że podjął decyzję o walce. Zrobił to w imię równości tysięcy innych kobiet, także oczekujących dziecka. Nawet najmłodszy chcieli walczyć, bawiąc się w „wojnę”. Mały Krzys, którego rodzice przynieśli z mordowanej Woli, płakał, pomimo ich zapewnień, że nie będzie widział już więcej zabitych ludzi, pożarów, dymów i krwi. Poprosiłem, aby mi go dali. Drżał. Zaniosem go do piwnicy. A teraz obejmij rączkami ten mur – nakazałem. Próbował ale mur był szerszy, niż rozkrzyżowane łapiny. Powiedziałem, nic się nie bój. Tutaj wszędzie są takie grube mury. Nic nam się nie stanie. Pomogło. Chłopiec się uspokoił, ale od tej chwili trzymał się mnie jak cień. Przez kilka dni nudził: „zrób mi pistolet”.

W naszym domu mieszkało trzech szewców, z których jeden miał w mieszkaniu podręczny składzik obuwia i pudełka do ich pakowania. Poprosiłem o kilka i garść drewnianych kołeczków. W mig uformowałem z tektury pistolet maszynowy „sten”. Wartownik radiostacji KG AK, którą zainstalowano w mieszkaniu dozorca p. Bolmowskiego, przyglądając się, jak powstaje zabawka, skomentował „ależ ci to dobrze idzie, szkoda, że nie możesz robić takich prawdziwych”. Rzeczywiście, nie mogłem, co nie przeszkadzało, że domki z tekturki (dla lalek) wyglądały w oczach małych gospodyń „jak żywe”.

Babcia Krzysia pożyczyła od nas brzytwę dla zięcia i różaniec dla siebie. Wypędzeni rankiem 2 września 1944 rozstaliśmy się pozornie na zawsze. Ale oto w roku 1965 ta

babcia odszukała nas i oddała pożyczony różaniec. Po tylu przejściach i latach. Tacy to byli ludzie. Każda dzielnica miała swoją specyficzną formę opieki nad dziećmi. Na Żoliborzu zaczęto nawet wydawać dla dzieci piśmko „Jawnutka” zmienione następnie na „Dziennik Dziecięcy”. Podtytuł głosił: „Codzienna ilustrowana gazetka dla dzieci”. Numery nieparzyste przeznaczone są dla dzieci starszych, numery parzyste dla dzieci młodszych. Redakcja – czynna codziennie, nie wyłączając niedziel i świąt – w lokalu przy ul. Krasińskiego 18 m 59 (IV kol. WSM) w godzinach od 8 do 16. Ilustracje wykonywane są wyłącznie przez dzieci od lat 7 do 14, w każdym numerze rysowało inne dziecko. Ukazało się 29 numerów tego niezwykłego pisma współredagowanego przez dzieci. Przy plakatach można było przeczytać takie oto wiersze:

*Naprzód Warszawo
pełne lun Twoje wieczory
i pełne gromów ranki
Prą dzieci pod sztandarem
– wysadzać tanki.*

Młociący artysta nad łuną miasta narysował dwa serca.

Na Powiślu utworzono dla dzieci teatrzyk kukielkowy.

Jego występy znane są z opisów w piśmie „Stolica” i licznych zdjęć powstańczych reporterów. Występów zaprzestano po upadku Starego Miasta, kiedy cała furia następnego ataku skierowała się na tę dzielnicę.

W walczącej Warszawie miały miejsce niezwykle wydarzenia z udziałem młodzieży. Przytoczę trzy. Pierwsze: Bogdan Roztropowicz (16 lat) notował w swoim dzienniku: „Łaskawy znalazco! O ile masz Boga w sercu i wzrusza Cię nędzka ludzka, to proszę doręcz to pismo kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób pod wskazany adres: plac Grzybowski 1 m 17”. Dziennik (w wyjątkach) zamieściła KARTA w Nr 33 z 2001 roku.

Dowiadujemy się, że Bogdan walczył na Żoliborzu i podczas przebiecia oddziałów powstańczych na Stare Miasto zagubił się, docierając na Cmentarz Powązkowski. „I teraz błąkam się już trzeci dzień sam jak palec. Jeść nie ma co, żywie się marchwią pastewną i słonecznikiem, i siły pomału mnie opuszczają. Mam ze sobą broń, tylko amunicji mało więc licha to obrona”.

Z kart notatnika przebija głęboka miłość do rodziców i ekstatyczna wiara w Boga. Redakcja Karty opatrzyła ten wypis następującym komentarzem-informacją: List Bogdana Rostropowicza, szesnastoletniego powstańca z Żoliborza –

zapisany na dwunastu stronach zeszytu szkolnego – został znaleziony po wojnie na Cmentarzu Powązkowskim. List ten nie trafił do adresatów. Rodzice Bogdana zginęli w zbombardowanym kościele Wszystkich Świętych przy placu Grzybowski. Rodzina nigdy się nie dowiedziała, co stało się z autorem listu, prawdopodobnie nie przeżył powstania. List został przekazany do zbiorów Ośrodka KARTA przez Leszka Dalewskiego z Krakowa we wrześniu 1999. Habent sua...

Wydarzenie drugie. W czasie walk o redutę pp. Kanonik na placu Teatralnym, łącznik, który przyniósł meldunek w czasie niemieckiego natarcia, wyrzucony został podmuchem eksplozji pocisku przez rozerwany strop do piwnicy reduty. Chwilę później następny pocisk wrzucił przez ten sam otwór niemieckiego żołnierza, który spadając na gruz piwnicy, złamał nogę. Nim się ocknął, łącznik trzymał w rękę jego pistolet maszynowy i wziął go do niewoli. Po odparciu natarcia, kiedy ustał huk wystrzałów, chłopiec krzykiem przywołał pomoc powstańców. Za wyjątkową przytomność umysłu dostał pochwałę i zdobyty pistolet maszynowy.

Wydarzenie trzecie. W połowie lat osiemdziesiątych napisałem w prasie wspomnienie o moim nauczycielu z czasów okupacji, p. Teofilu Woźniaku. Uczył w Szkole Powszechnej nr 4 im. Jana Kilińskiego. Zginął w sierpniu 1944 w obronie ul. Piwnej jako oficer Armii Krajowej. Po artykule z różnych stron kraju odezwali się dawni koledzy-uczniowie. Jeden z nich, architekt z Warszawy, opowiedział mi swoje przeżycia powstańcze.

„Dnia 4 sierpnia matka kazała mi iść do ciotki na Pragę. Byłem na środku mostu Kierbedzia, kiedy cała Starówka i Śródmieście zagrzmiały strzałami. Most błyskawicznie opustoszał. Przycupnąłem pod rurą, która wisiała wzdłuż konstrukcji mostu.

Co robić? Wracać w te strzały – bez sensu. Iść dalej na Pragę – za daleko. Siedziałem do wieczora. Wtedy zobaczyłem przede mną wojskowe buty. Podniosłem głowę. To był żołnierz niemiecki. Spytał, co tu robisz? Słabo mówiłem po niemiecku, ale zrozumiał. Kazał mi iść za sobą.

Na środkowych przęsłach Niemcy wybudowali drewniany barak i stanowiska artylerii przeciwlotniczej. Barak był dla załogi tych dział. Po schodach weszliśmy na górę. Co za wspaniały widok. Żołnierz powiedział kolegom, że mam im czyścić mundury i buty. Co miałem robić? Czyściłem. Patrzyłem z rozpaczą, jak ginie Starówka, jak strzelają w czasie zrzutów do alianckich samolotów, jak palą Warszawę. Dwa dni przed zajęciem Pragi ten sam Niemiec odprowadził mnie

na praski brzeg i przykazał wartownikowi, żeby mnie przepuścił. Szczęśliwie dotarłem pod adres ciotki”.

Rzeczywiście miał szczęście, ale jakże jego relacja przeczy opisowi, który przekazał Europie niemiecki korespondent wojenny: „Grenadierzy z narażeniem własnego życia ratują dzieci z walących się piwnic. Ranni cywile są opatrywani w prowizorycznych punktach sanitarnych. Walka nie dotyczy tych niewinnych, którzy przez własnych rodaków zostali wciągnięci bezmyślnie w zagładę”.

Cynizm tego reportażu odpowiada bestialstwu „grenadierów”, np. na placu zwanym popularnie Zieleniakiem. To tam zaopatrywano w warzywa całą Ochotę. W czasie Powstania stał się on miejscem kaźni i zbrodni. Gwałcono tu kobiety, nawet nieletnie. Bywało, że zbezczeszczone natychmiast zabijano.

Pani Wanda Felicja Lurie, która zmarła 21 maja 1989, w epitafium zamieszczonym w prasie na 60. rocznicę wybuchu Powstania, które napisał jej syn, została określona jako Polska Niobe. Istotnie, jak nikt, ma prawo do tego określenia. Mieszkała na Woli przy ulicy Działdowskiej 18. Dnia 5 sierpnia „humanitarni grenadierzy” zawlekli ją z trojgiem dzieci (4,6 i 12 lat) na dziedziniec fabryki „Ursus” przy ul. Wolskiej. Rozstrzelali ją i Jej dzieci na stosie tysięcy innych ciał.

„Przewróciłam się na prawy bok. Strzał oddany do mnie nie był śmiertelny. Kula trafiła w kark z lewej strony, przeszła przez dolną część czaszki i wyszła przez policzek. Dostałam krwotok ciążowy”.

Była w ostatnich dniach ciąży. Walcząc o życie swoje i dziecka, wydostała się z płonącego Miasta. Dnia 20 sierpnia urodziła syna. Dała mu na imię Mścisław.

Dr Mścisław Ludwik Lurie tak zakończył swoje przesłanie o Matce. „Życie i miłość są mocniejsze od śmierci! Dzięki Ci, Mamo, za Dar Życia”.

Dzisiaj po sześćdziesięciu latach od czasu, kiedy to naszym wrogom wydawało się, że zdołali unicestwić Stolicę – jakże proroczo brzmią wówczas napisane słowa naszej wspaniałej poetki Kazimiery Iłakowiczówny:

*Nie ma nas. Pustka tam i dach strzaskany
Wszystko, cośmy kochali, pogrzebały zgliszcza
Lecz to, co wzrasta z grobów, znowa pokochamy
Zawsze zmartwychwstaniemy... nas nie można zniszczyć!*

Warszawa, sierpień 2004.



Wspomnienia, których nie da się zapomnieć

MAŁA DZIEWCZYŃKA Z AK

*Ta nasza miłość jest najdziwniejsza,
Bo przyszła do nas z grzechotem salw,
Bo nie wolana, a przyszła pierwsza,
Gdy ulicami szedł pierwszy bal.
Szła z nami wszędzie przez dni gorące,
Gdy trotuary spływały krwią,
Przez dni szalone, gwiaździste noce,
Była piosenką, uśmiechem, łzą.*

*Moja Mała Dziewczyńko z AK,
Przyznasz chyba, że to wielka była gra,
Takie różne były końce naszych dróg
I nie wierzę, bym Cię znowu ujrzeć.
Choć na dworze była jesień, u mnie wiosna,
I bez trwogi, że dokoła płonął świat,
Tak na wskroś Cię przecież wtedy chciałem poznać,
Moja Mała Dziewczyńko z AK.*

*Nadzieja tchnęła, tak jak umiała,
Kryła się z nami we wnękach bram,
W ciasnych ulicach, mrocznych kanałach,
Bo już się wielka kończyła gra.
Kiedy się wszystko dla nas skończyło,
Kiedy ostatni zamilkł Pe-eM,
Na barykadzie została miłość,
Razem z Twym sercem i żalem mym.*

*Moja Mała Dziewczyńko z AK,
Przyznasz chyba, że to wielka była gra,
I tak różne były końce naszych dróg
Przecież ujrzeć Ciebie już nie będę mógł.
Dziś na dworze była jesień, u mnie jesień
I ta trwoga, choć dokoła splanął świat,
Już mi Ciebie nic nie wróci, nie przyniesie,
Moja Mała Dziewczyńko z AK*

*Słowa: Mirosław Jeziński „Karnisz”
Muzyka: Jan Markowski „Krzysztof”*

W bardzo ciężkich czasach przyszło żyć dzieciom - moim rówieśnikom. Kiedy wybuchła wojna, miałem zaledwie 11 lat. Rosłem i dojrzewałem w latach pogardy i straszliwego terroru ze strony okupanta hitlerowskiego. W Warszawie przeżyłem cały czas okupacji. Wcześniej musiałem stać się dorosłym. Już na przełomie lat 1939-1940, mając starszego o 11 lat brata Waława oraz o 3 lata siostrę Marię uczennicę gimnazjum, zetknąłem się z pracą konspiracyjną, wykonując różne zleczone mi przez brata zadania. Było to głównie przekazywanie informacji ustnych lub pisemnych pod wskazany adres bądź też znajomej mi osobie, w określonym miejscu. W późniejszym okresie przenosiłem prasę konspiracyjną, a także przekazywałem informacje o domach przejściowych, o znakach i numerach remontowanych samochodów wojskowych w Fabryce Samochodów Osobowych „Polski Fiat” przy ul. Sapieżyńskiej 6 (mieszkał w domu należącym do „Polskiego Fiata”, w której to fabryce pracował mój ojciec i brat).

W latach 1940-1942, chodząc do Szkoły Powszechnej na Żoliborzu, pomagałem przy dostarczaniu materiałów szkoleniowych na punkty tajnego nauczania w rejonie Żoliborza. W roku 1942 po ukończeniu Szkoły powszechnej rozpocząłem pracę i naukę zawodu w Zakładzie Naprawy Samochodów „Obsługa Samochodowa” przy ul. Tamka 28 w Warszawie (w zakładzie tym podczas Powstania Warszawskiego wykonano samochód pancerny „Kubuś” znajdujący się obecnie w Muzeum Wojska Polskiego), gdzie zetknąłem się

¹³ Żołnierz Powstania Warszawskiego na „Starówce” w zgrupowaniu kpt. „Gozdawy”, więzień hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Mauthausen, nr obozowy 95959.

ze starszymi kolegami z konspiracji, z którymi brałem udział w sabotażu polegającym na uszkodzeniu niektórych części w samochodach dostarczanych do przeglądu lub remontu, przedłużając w ten sposób remont tych samochodów, a tym samym wyłączając je z działań wojennych. W tym samym czasie uczęszczałem do Wieczorowej Szkoły Zawodowej nr 10 – Samochodowej (dawna Szkoła Mechaniczna im. M. Konarskiego).

Wybuch Powstania Warszawskiego zastał mnie na Starówce. Już w pierwszej godzinie brałem udział przy budowie barykady przy skrzyżowaniu czterech ulic: Franciszkańskiej, Kościelnej, Freta i Zakroczymskiej. Budową tej barykady kierował kpt. „Ognisty”. Pracowaliśmy cały czas pod ostrzałem ze sprzężonych działek przeciwlotniczych zlokalizowanych pod Cytadelą przy źródelku na wprost ul. Zakroczymskiej. Z okien mieszkań domów na rogu Zakroczymskiej i Kościelnej, a także Freta i Franciszkańskiej wyrzucano różne przedmioty (m.in. meble) i pod osłoną tych przedmiotów budowano barykadę, wrywając płyty chodnikowe, a także przetaczając z ul. Kościelnej żelazny, okrągły słup ogłoszeniowy. Ostrzał ul. Zakroczymskiej dokonywany był również z gmachu Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, w której stacjonował oddział żandarmerii niemieckiej, a także grupa żołnierzy z oddziałów gen. Własowa.

Następną barykadę przecinającą ul. Zakroczymską naprzeciwko bramy domu nr 9 budowaliśmy 2 sierpnia wcześniej rano. Budowa rozpoczęła się od wykopu z bramy, a następnie ściągano z pobliskiego terenu Fabryki „Polski Fiat” przez wejście z ul. Zakroczymskiej 5 fragmenty karoserii samochodowych i większe kawały metali.

Po kilkakrotnym szturmie Powstańców na gmach Wytwórni Papierów Wartościowych, gmach ten zdobyto 2 sierpnia w godzinach przedpołudniowych. Szturm prowadziły oddziały pod dowództwem kpt. Lucjana Guzińskiego „Gozdawy”. W tym samym dniu zgłosiłem się na punkt werbunkowy przy ul. Długiej 7 i zostałem wcielony do Armii Krajowej (2. dyon zmotoryzowany, 1. pluton, 2. drużyna) pod dowództwo por. „Pilicy” i ppor. „Nałęcza”. Dowódcą drużyny był w pierwszych dwóch, trzech dniach kpr. pchor. „Witek”, a następnie sierżant nazywany przez nas „wachmistrzem”. Zostaliśmy zakwaterowani w budynkach przy ul. Długiej 7.

Poczułem się żołnierzem! Z dumą nosiłem biało-czerwoną opaskę.

Wśród ludności cywilnej zapanował ogromny entuzjazm. Żyliśmy przecież na skrawku wolnej ziemi. Nigdzie na Starówce nie było przecież Niemców. Byliśmy tylko otoczeni. Wkrótce dowiedzieliśmy się, co to znaczy, bowiem Niemcy

rozpoczęli bombardowanie Starego Miasta zupełnie bezkarnie. Wiedzieli, że każda rzucona bomba trafi dokładnie w cel – w Polaków. Zastosowali także działa nazywane przez nas „szafami”. Były to 6-strzałowe miotacze min, które czyniły ogromne spustoszenie. Powstańcy dysponowali tylko bronią krótką, karabinami i butelkami z benzyną. I to nie wszyscy.

W dniu 3 lub 4 sierpnia oddział nasz wraz z innymi oddziałami brał udział w ataku na Dworzec Gdański od strony Stawek, lecz po silnym ostrzale został wycofany. Około 6 sierpnia nastąpiło przegrupowanie mojego oddziału. Przekwaterowano nas na ul. Franciszkańską 6 a. Wraz z grupą powstańców z innych oddziałów skierowano nas w okolice ul. Chłodnej i Żelaznej dla wzmocnienia walczących tam oddziałów, lecz na skutek szalejącego pożaru budynków na ul. Chłodnej i silnego ostrzału powróciliśmy w rejon Starówki. Znowu zmieniliśmy kwatery, przenosząc się na ul. Nowiniarską 6. Wyznaczono nam obronę barykady znajdującej się pod arkadami gmachu sądu na pl. Krasińskich z wylotem na ul. Bonifaterską. Barykady tej broniliśmy do 15 lub 16 sierpnia, po czym zostaliśmy przekwaterowani na ul. Miodową 22 (budynek dawnej fabryki win i wódek Jamasza). W tym mniej więcej czasie zostałem skierowany na ul. Daniłowiczowską (barykada przy ul. Hipotecznej), a następnie do budowy barykady na terenie ratusza (druga brama wewnętrzna pomiędzy pierwszym i drugim podwórzem). Brałem także jeszcze udział w walkach na terenie fabryki skór przy ul. Bolesć (dwa dni), a następnie na barykadach w okolicy Arsenału (ul. Długa).

Oddział nasz wchodzący w skład zgrupowania kpt. „Gozdawy” był jednostką wydzieloną, stanowiącą odwód w zgrupowaniu, stąd też przerzucano nas w różne miejsca walki, a także do pomocy przy budowie barykad, gaszeniu pożaru lewej wieży kościoła garnizonowego itp. Oddziałem tym dowodził por. „Jar”.

Śmierć codziennie zbierała obfite żniwo. Najtragicznym dniem, jaki przeżyli mieszkańcy Starówki był 13 sierpnia 44 r. (była to niedziela). W tym dniu Niemcy przygotowali pułapkę-czołg. Upozorowali zdobycie tego czołgu przez powstańców, uciekając z niego i pozostawiając na ul. Podwale. Czołg był zaminowany, o czym nie wiedzieli powstańcy. Uruchomili go i wśród entuzjazmu Powstańców oraz ludności cywilnej z okrzykami radości „zdobyliśmy czołg!” jechali w kierunku ul. Kilińskiego i Długiej. Bardzo dużo ludzi gromadziło się wokół, każdy chciał chociaż popatrzeć z bliska na zdobycz, a nawet dotknąć. W pewnym momencie, już na ulicy Kilińskiego, nastąpił straszny wybuch i czołg ten został rozerwany na części, zabijając i raniąc setki

osób. Krew płynęła ulicą jak woda. Różne szczątki ciał znajdujące się w dużej odległości od tego miejsca, poprzyklepane do murów. Nogi, ręce, głowy porzucane były wokół. W masakrze zginęło wielu kolegów z mojego oddziału. Mnie akurat wypadła służba na barykadzie na pl. Krasińskich i być może dzięki temu ocalałem. Pamiętam ten straszliwy huk, krzyki ludzi. Po prostu jedno głośnie, przeraźliwe wycie. Zdawało się, że piekło zapanowało na ziemi. Było to straszliwe przeżycie. Od początku sierpnia 1944 r. ginęła ludność cywilna, ginęli koledzy, Starówka była obrzucana pociskami, bombami, ale takiego piekła nie było. We wszystkich jeszcze jako tako całych pomieszczeniach organizowano szpitale polowe. Rannych było mnóstwo. Brakowało środków opatrunkowych, leków, a także lekarzy.

Niemcy skierowali na Starówkę zmasowany atak. Oddziały powstańcze były zdziesiątkowane. Wszystkie trawniki, najmniejsze nawet skrawki ziemi zamieniały się w cmentarze. Dookoła paliły się domy. Dom, w którym mieszkałem przy ul. Zakroczymskiej 1, spłonął 17 sierpnia, a mieszkańcy tego domu (m.in. moja mama i dwie małe siostry) przebywali w piwnicach, mając nadzieję, że Niemcy nie będą bombardować spalonych murów. Ponieważ na parterze była szklarnia, roztopione szkło powodowało, że temperatura powietrza w piwnicy dochodziła do 500 °C, albo i więcej. Nie było czym oddychać, nie było też gdzie uciekać. W tej sytuacji ludność cywilna już z niechęcią odnosiła się do Powstańców, obwiniając ich za ten okrutny los, tym bardziej że już dowiedziała się, że Niemcy na Woli masowo mordowali ludność cywilną.

Po czterech tygodniach bardzo ciężkich walk, przy braku amunicji, żywności, wody, środków opatrunkowych, możliwości jakiegokolwiek odpoczynku wiadomo już było, że Powstanie na Starówce upada, a walczące oddziały będą musiały przebić się kanałami do Śródmieścia lub na Żoliborz.

Dnia 30 sierpnia wieczorem poprosiłem dowódcę, aby zezwolił mi pójść na ul. Zakroczymską 1, gdzie przebywała moja mama wraz z moimi młodszymi siostrami. Chciałem się dowiedzieć, czy jeszcze żyją i ewentualnie pożegnać się z nimi przed przejściem do Śródmieścia. Tej nocy oddziały niemieckie odcięły ulicę Zakroczymską od strony ulicy Franciszkańskiej i Kościelnej. Znajdujący się na tym terenie Powstańcy (wśród nich i ja) przebierali się pospiesznie w ubrania cywilne, bowiem Niemcy rozstrzelali uczestników walk.

Hitlerowcy wypędzali mieszkańców znajdujących się na tym terenie przez teren zburzonej hali montażowej „Polskiego Fiata”, a następnie pędzili do Parku Traugutta. Tam od-

dzielali kobiety od mężczyzn, formując osobne kolumny i popędzili nas przez zburzone getto na teren magazynów przy ul. Stawki. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności kolumna, w której szedłem, zatrzymała się obok stojącej kolumny kobiet, wśród których spotkałem moją mamę i dwie siostry (dwunastoletnią Basię i czteroletnią Wandzię). Mama dała mi trochę wody z czajnika, który niosła ze sobą, a także kilka kostek cukru. Zdążyłem się jeszcze pożegnać z moimi najbliższymi i moją kolumnę Niemcy popędzili ulicami Okopową i Wolską, wpędzając wszystkich do kościoła św. Wojciecha na Woli. Mężczyźni zostali zatrzymani na terenie cmentarnym koło kościoła, kobiety i dzieci wpędzono do środka. Z grupy mężczyzn SS-mani wybrali dwudziestokilkuosobową grupę (w której i ja się znalazłem) i zaprowadzili nas na zaplecze kościoła do wolnostojącego budynku (prawdopodobnie był to budynek szkolny) – w celu uporządkowania znajdujących się tam pomieszczeń. Kazali nam wyrzucać na podwórko różne przedmioty, np. sienniki, które później podpalili. Na stosie tym spalili również trupa jakiegoś mężczyzny.

Po kilku godzinach pracy SS-mani przyprowadzili nas powtórnie do kościoła, wpędzili do podziemi i zamknęli. Nie było już grupy, z którą przyszedłem ze Starówki. Prawdopodobnie ludzi tych wywieźli do obozu w Pruszkowie.

Kiedy pędzono nas do pracy – widzieliśmy prowadzoną przez Niemców grupę Powstańców czterech albo pięciu chłopców i jedną dziewczynę. Po krótkim czasie usłyszeliśmy strzały, a następnie żołnierze niemieccy wrócili już bez tej grupy. Należy się domyśleć, że byli to powstańcy, których rozstrzelano. Tego samego dnia wieczorem do podziemia kościoła Niemcy przyprowadzili grupę mężczyzn. Z ich rozmowy zorientowałem się, że była to grupa wykorzystywana przez Niemców do rozbierania barykad, a także innych niebezpiecznych prac w polu obstrzału Powstańców. Mówili, że pilnujący ich żołnierze niemieccy zastrzelili podczas pracy dwie albo trzy osoby. W podziemiu kościoła było ciemno, dlatego nie mogłem zorientować się, jak liczną grupę wpędzono. W późnych godzinach wieczornych na dziedziniec kościoła przyprowadzono innych ludzi (słyszeliśmy krzyki, nawoływania). Zorientowaliśmy się, że kierowani są do niebezpiecznych zadań. Dlatego też w nocy wraz z moim kolegą, a zarazem sąsiadem – Zbyszkim Wąsowiczem, udało nam się przez okienko wydostać się na zewnątrz i włączyć do uchodźców ze Starówki. Następnego dnia rano SS-mani wypędzili wszystkich ludzi z terenu kościoła. Szliśmy ulicami Wolską i Bema na Dworzec Zachodni, gdzie załadowali nas do pociągu elektrycznego i przewieźli do obozu przejściowego w Pruszkowie. Pociąg wjechał na teren obozu.

W Pruszkowie spotkałem znajomych i sąsiadów ze Starówki, nie uzyskałem jednak żadnej informacji, co się dzieje z moją mamą i dwiema młodszymi siostrami.

Następnego dnia rano żołnierze niemieccy wypędzili nas z hali, w której nocowaliśmy, śpiąc na betonie i grupę liczącą ponad trzy tysiące osób popędzili do pociągu towarowego, ładując po 60 do każdego wagonu. W wagonach byli mężczyźni, kobiety i dzieci. Następnie wagony te zadrutowano i pod konwojem żołnierzy uzbrojonych w karabiny maszynowe, pociąg wyjechał z terenu obozu przez Koluszki. Wieczorem pociąg zatrzymał się na stacji w Częstochowie.

Na stacji oprócz Niemców było kilka osób z opaskami RGO, które usiłowały podać nam przez okienka trochę żywności i wody.

Podano również opaskę RGO i jednej osobie (mężczyźnie) udało się przez okienko wydostać na zewnątrz. Po krótkim postoju pociąg ruszył i następnego dnia zatrzymał się w godzinach przedpołudniowych już na terenie Sudetów (w polu). Niemcy otworzyli wagony, otoczyli w pewnej odległości pociąg i pozwolili ludziom wyjść dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. Po pewnym czasie konwojujący SS-mani wpędzili powtórnie wszystkich do wagonów, ale wagony nie były już zadrutowane. W pociągu krążyła informacja, że wiozą nas na roboty do winnic w okolice Linzu. Następny postój pociągu miał miejsce w Wiedniu, w nocy. Podano nam wówczas trochę rozgotowanej kaszy.

Dnia 4 września 1944r. około godziny 11-ej pociąg zatrzymał się na stacji w Mauthausen. Wśród ludzi powstała panika, bowiem nazwa ta była wielu osobom znana. Pociąg stał około dwóch godzin i nic się nie działo. Kolejarze mówili, że czekają na wolną trasę i że jedziemy do Linzu. Około godziny trzynastej pociąg został otoczony przez SS-manów, którzy gwałtownie wyrzucali ludzi z pociągu, kazali formować się w kolumny. Pędzili nas przez miasto w niewiadomym kierunku. Za miastem ujrzelśmy w pewnej odległości na górze warowny obóz. Widoczne były kamienne mury z wieżyczkami strażniczymi. Zorientowaliśmy się, że nie prowadzą nas na roboty do winnic, ale że droga wiedzie do znanego niektórym z nazwy obozu koncentracyjnego.

Mężczyzn wpędzono przez olbrzymią, drewnianą bramę na teren obozu, kobiety z dziećmi zatrzymano przed murem na zewnątrz. SS-mani zapędzili nas na plac znajdujący się między murem a blokami, w których mieściła się łaźnia i jakiś inny blok, chyba gospodarczy. Polecili nam rozebrać się do naga, pozwalając jedynie pozostawić buty i pasek lub szelki. Następnie kazali wszystkim zdać do depozytu kosztowności, pieniądze, dokumenty i pamiątki. Na placu tym byliśmy

przetrzymani do godzin wieczornych, a następnie grupami zapędzili nas do łaźni. W łaźni wszystkich ostrzyżono do gołej skóry, goląc przez środek głowy pas szerokości 3-4 cm. Ze względu na brak wody, z powodu uszkodzonych przewodów, wypędzono nas z łaźni drugim wyjściem, przy którym stali więźniowie i każdemu wychodzącemu rzucano po jednej sztuce bielizny: koszulę lub kalessony, bardzo zniszczone, z jedną nogawką krótszą koszule bez rękawów itp. Wśród krzyku i bicia SS-mani pędzili nas centralną ulicą obozu (podzielonego na trzy części) do ostatniej jego części, tzw. lagru trzeciego. Było już ciemno, teren obozu nie był oświetlony. Wpędzono nas do ciemnych baraków parterowych i kazano siadać na podłodze w rozkroku, zaczynając od ściany z lewej strony baraku. Odbywało się to przy bieganiu „funkcyjnych”, a więc blokowego i kapo. W ten sposób wciśnięto do bloku tyle osób, ile tylko dało się upchnąć.

Więźniowie siedzieli przez całą noc na gołej podłodze, ściśnięci, natomiast z prawej strony baraku, poukładane były aż do sufitu materace. W nocy siedzący przede mną więzień wstał i wyszedł z baraku. Następnego dnia znaleziono go wiszącego na pasku umocowanym do belki w pomieszczeniu umywalni, miał on również podcięte żyły. Wokół niego było pełno krwi. Słyszałem z opowiadań współwięźniów, że był to właściciel apteki ze Starówki. Nie wytrzymał nerwowo i popełnił samobójstwo.

Przed wschodem słońca wypędzono więźniów z pięciu baraków, ponumerowanych od nr 26 do 30. Było bardzo zimno, temperatura musiała spaść poniżej zera, ponieważ dookoła wszystko pokryte było szronem. Ludzie ogrzewali się własnymi ciałami, tworząc tak zwane „kominki”, to jest przytulając się jeden do drugiego w grupach po kilka osób. Widok więźniów ogolonych, w pojedynczych częściach podartej bielizny, był okropny, nie poznawali siebie nawet najbliżsi znajomi.

To pierwsze zetknięcie z obozem koncentracyjnym było przerażające. Od przybycia do obozu, a właściwie od skromnego posiłku otrzymanego w Wiedniu, nie otrzymaliśmy nic do jedzenia ani do picia. Po kilku godzinach stania na dworze przyniesiono na teren tej części obozu kilka stołów i rozpoczęła się rejestracja więźniów, to jest spisywanie personaliów i nadanie każdemu z nas numeru obozowego. Ja otrzymałem numer 95959 i przydzielono mnie do bloku nr 27.

Pogoda w tym dniu, jak również w dniach następnych, była piękna mimo przymrozków w godzinach nocnych i nad ranem. W południe temperatura dochodziła do 35 °C. Przez cały dzień blokowi nie wpuszczali nas do wewnątrz baraków. Cały dzień musieliśmy stać na placu pozbawionym jakich-

kolwiek drzew. Przy silnych upałach staraliśmy kryć się w cieniu baraków obozowych i muru.

Przyniesioną z kuchni dla więźniów kawą na śniadanie blokowy kazał młodocianym więźniom myć podłogę w baraku. Innym więźniom jedną porcję kawy (ciemnego płynu), nalaną do miski, przydzielał dla trzech, czterech osób w ten sposób, że kolejno piliśmy po kilka łyków tego gorzkiego płynu. Na skutek nadmiernego przegrzania zdarzyło się kilka porażen słonecznych. Jednemu z więźniów spuchła część twarzy do tego stopnia, że nie widać było oka. Już w pierwszych dniach pobytu w obozie, na tzw. kwarantannie, niektórzy więźniowie chorowali na biegunkę. Więźniów tych zabrano do obozowego szpitala tzw. rewiru. Okres kwarantanny dla mnie trwał do dnia 12 września 1944 r. W tym dniu w godzinach rannych wraz z grupą liczącą ponad 400 osób przewieziono mnie do podoboju w miejscowości Melk. Poprzedniego dnia każdemu z więźniów wydano bieliznę tj. koszulę i kalesony, a także spodnie, bluzę i okrągłą czapkę w szaro niebieskie pasy. Każdy z więźniów otrzymał również dwa paski materiału, na których drukowany był czerwony trójkąt (oznaka więźnia politycznego).

Na paskach tych chemicznym ołówkiem musieliśmy wypisać numer obozowy nadany każdemu więźniowi. Paski te musieliśmy przyszyć jeden do bluzy z lewej strony nad pierśią, drugi natomiast na lewej nogawce spodni z boku, powyżej kolana.

Do Melku, oddalonego około 90 km od Mauthausen i mniej więcej tyle samo kilometrów od Wiednia, przybyliśmy w godzinach południowych. Obóz zlokalizowany był w dawnych koszarach wojskowych. Na terenie obozu stało kilka murowanych budynków, niektóre dwu- i trzypiętrowe; ustawionych było także kilka baraków. Samo wejście do obozu nie wróżyło nic dobrego. Podwójne zasieki z drutu kolczastego pod napięciem elektrycznym, wieże strażnicze z wartownikami uzbrojonymi w broń ręczną i maszynową. Przy wejściu na teren obozu stał słup, do którego za ręce i nogi był przywiązany więzień, ukarany za jakieś „przewinienie”. Na terenie obozu spotkaliśmy więźniów, niektórzy z nich ręką usiłovali z pustych kotłów po zupie wygarniać ze ścian tych kotłów resztki pożywienia. Niektórzy znów próbowali zdobyć jakiegokolwiek resztki pożywienia ze znajdujących się tam śmietników. Oczywiście czynili to po kryjomu, ponieważ za takie postępowanie groziły wysokie kary (w najlepszym razie pobicie przez SS-manów, bądź też niektórych funkcyjnych).

Całą naszą grupę, która przybyła z Mauthausen przydzielono do bloku nr 13, znajdującego się w dużym pomieszcze-

niu na pierwszym piętrze. Pomieszczenie to podzielone było na cztery części deskami (z dużymi przeszwitami). Każda część stanowiła odrębny blok, to jest blok nr 10, 11, 12 i 13. Ogółem w całym tym pomieszczeniu znajdowało się około 2 tysięcy więźniów. Każdy blok miał swoje władze blokowe, to jest: blokführera SS-mana, blokowego więźnia, schreibera (pisarza) i innych funkcyjnych. Blokowym naszym został więzień Niemiec z zielonym trójkątem – oznaką, że jest to więzień kryminalista. Natychmiast zarządził zbiórkę, wyznaczył szereg osób do różnych prac związanych z uporządkowaniem i urządzeniem bloku.

Pomieszczenia te kilka tygodni wcześniej zostały zbombardowane przez wojska alianckie, a potem świeżo odbudowane. Urządzenie bloku polegało przede wszystkim na przyniesieniu i ustawieniu trzypoziomowych prycz przylegających jedna do drugiej, z wąskimi przejściami umożliwiającymi dostanie się do poszczególnych „legowisk”.

Na pryczach tych, zbitych z nieheblowanych desek, ułożone były worki papierowe wypełnione drewnianymi wiórami. Na każdym „legowisku” były po dwa stare, powycierane, szare, cuchnące koce (derki).

Tego samego dnia założono ewidencję (kartotekę) każdego więźnia i podzielono nas na grupy robocze, tzw. komanda. Mnie przydzielono do pięćdziesięciosobowej grupy noszącej nazwę komando Keller Lutz Wasser. Nazwa komanda pochodziła od nazwy firmy, na rzecz której pracowali więźniowie. Następnego dnia rano około godziny czwartej zbudził nas głos dzwonu, a następnie krzyk blokowego i wyznaczonych funkcyjnych: pisarza blokowego tzw. schreibera i kapo, którzy z krzykiem „aufstehen” (wstawać) biegali po bloku. Pierwsze napotkane przez funkcyjnych osoby zostały popędzone do kuchni po śniadanie składające się z kubka czarnej, gorzkiej wody (tzw. kawy) oraz 1/8 części bochenka kilogramowego chleba czarnego. W tym samym czasie, w pośpiechu, przy krzyku i popędzaniu, więźniowie musieli ubrać się, przygotować „legowiska” i zbiec na dół do umywalni, a następnie ustawić się w bloku według podziału na komanda. Posiłki wydawane były dla poszczególnych grup, zgodnie z ilością przydzielonych do komanda więźniów.

Wszystkie czynności wykonywane były przy popędzaniu i krzyku blokowych. Opóźnionych w tych czynnościach więźniów blokowi bili i popychali, przeklinając. Po spożyciu śniadania (wszystko w ogromnym tempie), często na stojąco, więźniowie ustawiali się przed budynkiem w kolumny po pięciu w każdym rzędzie, a następnie po wielokrotnym przeliczeniu i sprawdzeniu obecności (według ilości osób w poszczególnych komandach) przeprowadzani byli na plac ape-

lowy, gdzie o godzinie piątej rano odbywał się ogólny apel obozu. Więźniowie byli powtórnie przeliczani przez blokowego, blokführera (SS-mana), raportführera, a następnie przez komendanta obozu. Po zakończeniu odprawy-apelu więźniowie udawali się do pracy: jedni na terenie obozu, inni natomiast grupami pod stałym nadzorem uzbrojonych SS-manów (często z psami) wychodzili poza teren obozu.

Komando moje pracowało w odległości 5 km od obozu i pilnowane było przez pięciu SS-manów. Praca polegała na wykuwaniu w skalistej glebie rowów, a następnie umieszczaniu w nich rur o dużej średnicy, którymi miano przeprowadzać wodę z Dunaju do odległych sztolni kamieniołomów. Codzienną drogę do pracy i z powrotem po pracy odbywaliśmy pieszo. Posiłki obiadowe składające się z rozgotowanej kapusty, brukwi, marchwi, a w zimowym okresie z suszonych jarzyn, dostarczano nam samochodem na miejsce pracy. Zdarzały się jednak przypadki, że takiego posiłku nam nie dostarczono, a otrzymywaliśmy go dopiero łącznie z posiłkiem wieczornym na terenie obozu w bloku, w którym mieszkaliśmy.

Każdy z więźniów musiał mieć z sobą naczynie do spożycia posiłku. Każdy naczynia tego strzegł, jak źrenicy oka, bowiem kto nie miał naczynia, nie otrzymywał posiłku. Jedni mieli blaszane miski, inni ciężkie miski fajansowe, jeszcze inni - stare puszki po konserwach. To samo dotyczyło łyżek wydanych w momencie przyjazdu do podobozu w Melku. Różne też były sposoby noszenia tych naczyń, z którymi nikt się nie rozstawał. Najłatwiej było przymocować miskę blaszaną. Przeważnie wybijało się w takiej misce dziurkę z boku i przywiązywało do paska. Z miskami fajansowymi były już większe kłopoty. A poza tym były ciężkie, a to przy codziennym dziesięciokilometrowym marszu odczuwało się dotkliwie. Kolacja składała się przeważnie z jednej łyżki wazowej czarnej, gorzkiej tzw. kawy i 1/8 części bochenka chleba, a także czasami łyżki twarogu albo kawałek margaryny (kilka gramów) lub marmolady. Zdarzało się również, że w dni świąteczne otrzymywaliśmy plasterek kiełbasy. Niejednokrotnie dla własnej wygody, blokowi wydawali podwójną porcję chleba raz dziennie, rano lub wieczorem, co miało tę ujemną stronę dla więźnia, że przeważnie zjadał całodzienną rację chleba od razu i szedł głodny spać, albo też rano szedł głodny, na czczo do pracy.

Dnia 11 września 1944 r. wypadła tzw. wolna od pracy niedziela. Więźniowie pracujący poza terenem obozu mieli wolną co drugą niedzielę z uwagi na konieczność dokonania zmian w systemie pracy (prace w kamieniołomach w sztolni prowadzone były na trzy zmiany). Na apelu porannym i wie-

czornym był komplet więźniów (z wyjątkiem tych, którzy przebywali na rewirze). Po normalnym przeliczeniu więźniów komendant obozu zwrócił się do nowo przybyłych, ostrzegając ich przed łamaniem dyscypliny, ucieczką, która zawsze kończyła się złapaniem więźnia, a następnie jego śmiercią, a także oznajmił, że w obozie tym nie ma prawa nikt żyć dłużej niż trzy miesiące i że wyjście z obozu jest tylko jedno - kominem. Kilkudniowy nasz pobyt w obozie, ciągle stykanie się z wypadkami ciężkich pobić, śmierci, stosowania ciężkich kar – jak bicie, przywiązywanie do słupa, topienie w beczce z wodą i temu podobne formy znęcania się – w zestawieniu z wypowiedzią komendanta obozu przekonało nas, że faktycznie przeżycie dłuższego okresu w tym obozie jest nie możliwe, że należy za wszelką cenę unikać sytuacji, żeby nie zostać pobitym lub zabitym, a tym samym maksymalnie przedłużyć swoje życie.

„Wolna niedziela” nie była dla więźniów dniem odpoczynku. Wymyślano różne formy udręczeń. Blokowy z mojego 13 bloku miał wyjątkowe „ambicje”, aby więźniowie z jego bloku zachowywali się na apelach jak wojsko na defiladzie. Dlatego też całymi godzinami przeprowadzał ćwiczenia (bez względu na pogodę) szybkiego ustawiania się w kolumny po pięciu lub po dziesięciu więźniów w jednym rzędzie.

Więźniowie, którzy nie zdążyli w krótkim czasie stanąć w odpowiednim miejscu kolumny, za karę musieli skakać żabką dookoła kolumny. Ćwiczone zdejmowanie i zakładanie czapki na tempo w ten sposób, aby przy komendzie „mützen ab” - słychać było jedno głośne uderzenie czapką o udo prawej nogi, a na komendę „mützen auf” – czapki musiały być równo i błyskawicznie założone na głowy. Więźniowie, którzy opóźniali te polecenia, byli karani skakaniem żabką, biciem, sprzątaniami sał, myciem podłóg itp.

Inną formą udrażania więźniów były tzw. zbiorowe mycie i dezynsekcja odzieży. W nocy, bez wcześniejszego uprzedzenia, robiono alarmy śpiącym na bloku więźniom. Wszyscy musieli rozbierać się do naga, ubranie trzeba było wiązać w kostkę, numerem na zewnątrz, które to ubranie odnoszone było przez wyznaczonych więźniów do parówki. Rozebranych więźniów (niezależnie od pogody) – w deszczu lub na mrozie, pędzono przy krzykach i biciu, do łaźni, gdzie w zależności od humoru obsługujących łaźnię puszczano zimną lub bardzo gorącą wodę.

Po kilku minutach wypędzano z łaźni jedną grupę i wpędzano na ich miejsce drugą. Więźniowie biegli do bloku, a tam czekał już na nich blokowy z innymi kapomanami i sprawdzał, czy więzień jest czysty. Jeśli uważał, że więzień nie jest dobrze umyty, albo zachlapany błotem, co przy

szybkim biegu po błocie zdarzało się, to pędzono go powtórnie do łaźni, aż wrócił czysty. Tej nocy nikt już nie spał, bo po pewnym czasie przynoszono z parówki najczęściej mokre i już nie ułożone numerami do góry ubrania. W tych warunkach odszukanie swojego ubrania trwało bardzo długo. A na poranny apel każdy musiał wyjść ubrany. Były to dla więźniów koszmarnie noce i szczęśliwi byli ci, którzy pracowali na nocnej zmianie.

Na komandzie Keller pracowałem w pięćdziesięciosobowej grupie Warszawiaków około sześciu tygodni. W początkowym okresie koledzy moi pracujący w sztolni zazdrościli nam, że pracujemy cały czas na powietrzu i tylko na jedną zmianę. Ale kiedy zaczęły się szarugi i sloty, a później mrozy, kiedy cały czas przebywaliśmy w mokrym, cienkim ubraniu, bez jakichkolwiek możliwości schronienia się przed deszczem lub ogrzania, wtedy my zazdrościliśmy tym pracującym w sztolni.

Był to dla mnie najcięższy okres pracy podczas pobytu w obozie koncentracyjnym. Pamiętam, jak z kolegą starszym ode mnie o trzy lata i mającym wówczas 19 lat Zbyszkim Wąsowiczem nieraz z zimna i głodu pod ciekącą na nas strumieniem wodą z rur zawieszonych na łańcuchach nad rowami, które ręcznie wykuwaliśmy oskardami – po prostu płakaliśmy, bojąc, że w takich warunkach nie mamy o czym marzyć, aby udało nam się przeżyć te trzy miesiące, o których wspominał komendant obozu.

Pewnego dnia nasza grupa, przechodząc na inne stanowisko pracy, niosąc różne przyrządy, narzędzia, belki, łańcuchy itp. Szła nie w zwarty sposób, rozciągnięta na dość dużym odcinku drogi. Z daleka dojrzał nas jadący samochodem komendant obozu. Dojechał do nas z krzykiem, pobił naszego kapo (węgierskiego Żyda), który w porównaniu z innymi kapo był bardzo przyzwoitym człowiekiem. Komendanta grupy – SS-mana (komandoführera) zawieszono w czynnościach, przekazując dowództwo grupy innemu SS-manowi. Po przybyciu z pracy do obozu, całą naszą grupę rozwiązano, przydzielając nas do innych komand.

Nie miałem szczęścia, bo przydzielono mnie do jednego z cięższych tzw. komanda Merkendorf, noszącego nazwę od miejscowości, w której budowaliśmy osiedle baraków dla zbombardowanych Wiedeńczyków. Komando to miało swą złą sławę ze względu na wyjątkowego sadybę komandoführera i wybranych przez niego pomocników SS-manów. Również warunki dojścia do miejsca pracy po ciężkich, gliniastych drogach około 4 km w jedną stronę były ciężkie i wymagały wiele wysiłku.

Praca polegała na wożeniu taczkami żwiru, przenoszeniu ręcznie dużych żelbetonowych elementów, rozładowywaniu cementu, noszeniu w konwiach wody itp. Nie było dnia, żeby komandoführer nie pobił kilku więźniów do utraty przytomności, lub co najmniej do silnego pokrwawienia. Jego ulubionym systemem bicia więźniów było ustawianie ich przy murowanej budce i uderzanie pięścią w twarz w ten sposób, aby odrzucona do tyłu głowa uderzała o mur tej budki. Kończył przeważnie bicie, kiedy już mocno pokrwawił więźnia.

Każdy powód do bicia był dobry. Był nim: nierówny marsz w szeregu kolumny idącej do pracy, zbyt wolna jego zdaniem praca, włożony pod przemokniętą bluzę kawałek papieru z torby po cemente, nie zdjęcie na czas przed SS-manem czapki itp.

Jeden dzień z tego okresu szczególnie utkwił mi w pamięci. Komando nasze liczące kilkaset osób, aby dostać się do miejscowości Merendorf, część trasy odbywało pociągiem w wagonach towarowych. W tym celu, w niedalekiej odległości od stacji kolejowej Melk ustawiona była rampa drewniana, na którą wpędzano więźniów, po czym podjeżdżał pociąg towarowy. Więźniowie po załadowaniu do wagonów musieli stłoczyć się po lewej i prawej stronie wagonu w taki sposób, aby środek był wolny dla eskortujących nas SS-manów. Przewożono nas kilka kilometrów na teren budowy sztolni, gdzie zbudowana była taka sama rampa.

Tego dnia idąc do pracy poczułem, że mam trudności ze zginaniem nóg. Stwierdziłem, że spowodowane to jest puchnięciem, które z każdą chwilą potęguje się coraz bardziej. Po przewiezieniu nas na teren sztolni i wyładowaniu na rampę sformowano kolumnę. W kolumnie chodziliśmy zawsze trzymając się pod rękę w taki sposób, że trzymało się prawą ręką współwięźnia z prawej strony. Kiedy miałem zejść z rampy, miałem duże trudności ze zginaniem nóg, w związku z czym hamowałem część kolumny idącej za mną i powstała między nami przerwa. Idący z boku SS-man nakazał więźniowi idącemu z mojej prawej strony wziąć mnie pod rękę, aby przyspieszyć marsz kolumny. SS-man zareagował uderzeniem kolbą karabinu w tył głowy tego więźnia. Ten padł twarzą do przodu. Zrobiło się zamieszanie, mnie wycofano do następnej piątki do tyłu, natomiast więzień, na którego miejsce przesunięto mnie, wraz z drugim z mojej piątki musiał wziąć nieprzytomnego więźnia i donieść na plac, na którym odbywał się apel przed przystąpieniem do pracy. Liczba więźniów zawsze musiała być zgodna. Nieprzytomnego położono na placu obok naszej kolumny.

Po krótkim czasie do naszej grupy doszedł oberkapo przezywany przez nas cyganem (był to kryminalista z zielonym trójkątem) i kopiąc leżącego, nieprzytomnego więźnia wołał „aufstehen”. Ponieważ więzień nie reagował na to wołanie, oberkapo-cygan położył mu na szyi leżący nieopodal kołek i stojąc na nim butami, udusił swoją ofiarę. Wyczyny tego kryminalisty były ogólnie znane. Mało było bowiem dni, w których nie przyniesiono by do obozu zamordowanego przez niego więźnia. Ulubionym sposobem mordowania było topienie ofiary poprzez zanurzanie jego głowy w beczce z wodą.

Tego dnia po przyjściu wieczorem z pracy udałem się na rewir, gdzie zawsze wieczorem przyjmowali chorych więźniów na badanie lekarze-współwięźniowie. Decyzję pozostawienia chorego więźnia na leczenie w szpitalu musiał jednak zaakceptować lekarz SS-man.

Byłem spuchnięty aż do pasa. Spodnie musiano mi rozpuścić. Podjęto decyzję zatrzymania mnie w szpitalu.

Choroba ta zwana popularnie odumą była spowodowana przede wszystkim głodem, ale także warunkami zewnętrznymi, ogólnym wycieńczeniem organizmu.

Przebywanie na rewirze uważane było przez więźniów za wielkie szczęście, ponieważ człowiek nie musiał iść do wyczerpującej pracy, przebywał pod dachem, miał większe możliwości zdobycia pożywienia z uwagi na to, że wielu chorych, szczególnie tych z bardzo wysoką temperaturą nie przyjmowało pokarmów, natomiast odczuwało bardzo silne pragnienie. Chorzy wymieniali jedzenie na płyn (kawę). Warunki na rewirze były bardzo ciężkie. Do leżenia przygotowane były piętrowe prycze, a na każdym pojedynczym miejscu, w zależności od okresu, leżało trzech, a nawet czterech więźniów. W okresie jesienno-zimowym liczba chorych więźniów gwałtownie wzrastała. Śmiertelność również. O ile w miesiącach wczesnojesiennych zmarłych więźniów odwożono do spalenia w krematorium w Mauthausen, kiedy na terenie Melku był tylko jeden barak rewirowy, to pod koniec 1944 r. zbudowano już drugi blok rewirowy, a także krematorium, w którym palono zmarłych i pomordowanych więźniów.

Więźniowie przebywający na rewirze, którzy mogli się jeszcze poruszać, musieli wykonywać szereg różnych prac zleconych im przez komendanturę rewiru. Były to innymi prace porządkowe, przynoszenie żywności z kuchni, dowożenie innego zaopatrzenia, transport zmarłych więźniów itp. Pamiętam, jak pewnego dnia wysłano mnie do piwnicy celem przepchania zatkanego przewodu kanalizacyjnego. Kiedy schodziłem na dół, z przerażeniem stwierdziłem, że

w piwnicy tej znajduje się wiele trupów rzuconych na stos bezładnie i aby dostać się do zatkanego przewodu znajdującego się pod sufitem, muszę wspiąć się po tych trupach. Świadomość konsekwencji niewykonania polecenia była silniejsza od strachu. Myśl, że będę musiał chodzić po trupach moich kolegów-obozowiczów przerażała mnie dodatkowo. Mimo straszliwych oporów wewnętrznych, musiałem wykonać polecenie. Do dziś pamiętam trzask kruszonych pod moimi nogami kości, mimo tego że starałem się wchodzić możliwie ostrożnie i delikatnie. Najgorsze było to, że pod zawieszoną pod sufitem rurą musiałem przejść na drugą stronę schylając się bardzo nisko, prawie czołgając po nieboszczykach. Przerażające jeszcze było, że ten stos pod naciskiem moich nóg rozsuwał się. Wydawało mi się, że ręce i nogi nieboszczyków unoszą się. Nigdy tego nie zapomnę!

Pobyt na rewirze trwał zaledwie kilka dni. Przebywanie we względnie ciepłym pomieszczeniu i fakt, że nie chodziłem do pracy, a przebywałem w łóżku, spowodował że opuchlizna ustąpiła. Ponieważ co kilka dni w godzinach rannych komendant rewiru (lekarz SS-man) dokonywał przeglądu więźniów, a ja nie miałem już temperatury; zdecydował, że mam wrócić na swój blok.

Tego samego dnia wyznaczono mnie do pracy na nocnej zmianie. W komandzie Czernichowski Lochschuppen. Była to piętnastoosobowa grupa więźniów, której zadaniem było rozładowywanie wagonów na terenie budowy sztolni. Był to przeważnie cement, żwir, tłuczeń kamienny i inne materiały budowlane. Praca była bardzo ciężka, cały czas na powietrzu podczas słońca, zadynek, przymrozków, silnych wiatrów. Należy przy tym pamiętać, że odzież nasza nie była przystosowana do pracy w takich warunkach. Na grzbiecie miałem tylko koszulę i cienką bluzę oraz z takiego samego materiału w pasy fartuch zwany „mantlem”. Moje buty, w których przybyłem do obozu dawno uległy zniszczeniu, dostałem drewniane trepy, które przywiązywałem drutem do nóg, ażeby nie spadały. O skarpetach nie było mowy. Nogi najczęściej okręcało się jakimiś szmatami, albo papierem z toreb po cemencie. Niektórzy chodzili boso, bo nie mieli trepów.

Innym zdarzeniem, które szczególnie utkwiło mi w pamięci, był okres Bożego Narodzenia 1944 r. W wigilię do pracy w sztolni wyjechała tylko pierwsza zmiana, ponieważ przerwa w pracy miała trwać przez okres dwóch dni Świąt Bożego Narodzenia. Tego dnia jak zwykle po zakończeniu pracy, a było to około godziny 15.00, zarządzono apel wszystkich pracujących więźniów na terenie sztolni. Należy dodać, że apele takie odbywały się zawsze przed rozpoczęciem i po zakończeniu pracy. Każdy kapo spisywał rano numery więź-

niów pracujących w jego grupie i meldował komandoführerowi stan liczbowy w grupie. Po zakończeniu pracy, kapo ponownie zbierał grupę i sprawdzał, czy wszyscy są obecni. Stan musiał być zgodny. Jeżeli któryś z więźniów zmarł lub został w czasie pracy zamordowany, wówczas kładło się zwłoki obok grupy. Wyznaczony przez komandoführera SS-man – raportführer – sumował stany osobowe poszczególnych grup i sprawdzał, czy są one zgodne ze stanem przed rozpoczęciem pracy, a tym samym ze stanem osób, które wyprowadzono z terenu obozu.

W Wigilię, po zakończeniu pracy, długo i wielokrotnie liczone. Nie zgadzał się bowiem stan osobowy jednej z grup. Brakowało więźnia, jak się później okazało – Polaka, przywiezionego kilka dni wcześniej z Oświęcimia. Tego dnia padał mokry śnieg z deszczem. Teren sztolni był duży. Było bardzo wiele miejsc, gdzie można było się ukryć. Wiadomo było wszystkim, że na okres Bożego Narodzenia pilnujący w budkach wartowniczych SS-mani pojedą wraz z nami do obozu do swoich koszar i teren miejsca pracy nie będzie pilnowany. Prawdopodobnie więzień ten miał nadzieję, że uda mu się w tym czasie uciec z obozu. Zdenerwowanie wśród SS-manów, jak też wszystkich pilnujących nas osób funkcyjnych było bardzo duże. O ile pamiętam, w obozie naszym dawno nie było próby ucieczki, a wszystkie poprzednie kończyły się złapaniem więźnia i zamordowaniem. Na placu apelowym trzymano nas do późnych godzin wieczornych bez jedzenia, na mokrym śniegu, w coraz większym błocie. Około godziny 22.00 przyjechała duża grupa SS-manów, którzy zmienili wartowników na wieżyczkach i wtedy podstawiono pociąg, którym przewieziono nas do miasta Melk. Idąc do obozu ze stacji, cały czas pod górę, widzieliśmy w oknach mieszkańców tego miasta światła na choinkach, słychać było śpiew kolęd.

Tego dnia pędzący nas SS-mani zachowywali się wyjątkowo brutalnie. Po przyjeździe do obozu zobaczyliśmy na placu apelowym piękną, dużą, oświetloną choinkę. Na blokach wydano nam po pół chleba na cały okres Bożego Narodzenia, a także każdemu z więźniów przydzielono szczyptę pokrojonych korzeni i liści tytoniowych. Był to świąteczny przydział i jedyny, jaki pamiętam, dla wszystkich więźniów. Następnego dnia w bardzo wczesnych godzinach rannych zarządzono na placu apelowym zbiórkę dla osób funkcyjnych, to jest blokowych, kapo i policji obozowej. Po wybraniu dużej grupy ludzi, więźniowie ci wraz z dużym oddziałem SS-manów pojechali na teren sztolni szukać więźnia.

Dla więźniów, którzy zostali na blokach, dzień rozpoczął się normalnie. Po porannym apelu wróciliśmy do bloku i za-

częto wydawać więźniom kawę, która tego dnia wyjątkowo była nieco inna, lekko słodka, prawdopodobnie zmieszana z suszonymi, palonymi burakami cukrowymi. Chleb otrzymaliśmy, jak już wspomniałem, poprzedniego dnia na cały okres świąteczny. Dla mnie dzień ten zaczął się wyjątkowo źle. Podchodząc do kotła z kawą, natknąłem się na blokowego, który zwrócił uwagę, że na szyi mam flanelową szmatę.

Była to flanelowa opaska, jaką Niemcy wydali niektórym więźniom będącym pewnego dnia na bloku. Tę flanelową opaskę dał mi do zwrotu idący na kilka dni wcześniej na rewir pan Wierzbowski, ojciec mojego szkolnego kolegi, wieloletni woźny Szkoły Graficznej przy ul. Konwiktorskiej w Warszawie. Blokowemu nie podobało się, że tą opaską mam owiniętą szyję. Zerwał mi ją z szyi, a następnie kazał mi rozebrać się do naga i oddać wszystkie rzeczy do dezynsekcji. Ponieważ pracowałem przy transporcie cementu, nosząc worki, które niejednokrotnie były popękane, miałem ślady cementu na głowie oraz na szyi. Warunki w obozie nie pozwalały nam na utrzymanie czystości, gdyż we wspólnej umywalni i ubikacji nie zawsze była woda, nawet zimna. Brak było mydła, nie było ręczników do wytarcia, a do tego jeszcze miałem odmrożone ręce z otwartymi ranami na palcach.

Blokowy zawołał jednego z młodych więźniów, pełniącego funkcję stubediensta (porządkowego), dał mu szczotkę ryżową i kazał mnie zapędzić do umywalni i tą szczotką wyszorować. Umywalnia ta znajdowała się w małym budynku obok bloku w odległości około 30 m od wejścia do bloku.

W tym dniu rozpoczęły się silne mrozy trwające już nieprzerwanie do połowy marca. Wszystkie drzewa, druty, pokryte były białym szronem.

Miałem jednak trochę szczęścia, ponieważ stubedienst był Polakiem ze Śląska i starał się pomóc mi w usunięciu śladów cementu, jedynie możliwie lekko pocierając szczotką z wodą, mydła nie dostałem. Tego dnia cały czas chodziłem okryty tylko kocem. Tak przetrwałem aż do następnego dnia, kiedy wydano mi mokre ubranie.

W pierwszy dzień Świąt, w godzinach popołudniowych powróciła do obozu grupa więźniów funkcyjnych wraz z SS-manami. Przywieziono także pobitego więźnia, którego poprzedniego dnia nie można było znaleźć. Ukrył się on bowiem w jednej z rur kanalizacyjnych. Niestety, uciec nie mógł, ponieważ cały teren strzeżony był silnie przez posterunki SS zarówno na wieżyczkach wartowniczych, jak i poruszające się patrole. Na wieczornym apelu, więźnia tego, okrytego jakimiś kolorowymi szmatami, niosącego tablicę z napisem w języku niemieckim o treści: „uciekłem, zosta-

łem złapany”, przeprowadzono przed frontem wszystkich więźniów stojących na placu apelowym w grupach według numeracji bloków. Jak mi wiadomo, w stosunku do tego więźnia zastosowano swoistą formę amnestii z okazji Bożego Narodzenia. Nie otrzymał normalnej w takich przypadkach porcji 75 batów i nie przywiązano go na dwie, trzy doby do słupa bez jedzenia i picia. Nie wiem natomiast (nie pamiętam), czy wysłano go do karnej kompanii do Mauthausen.

Jak już wcześniej wspomniałem obóz Mauthausen był centralnym obozem dla całego systemu obozów na terenie Austrii. Na początku 1945 roku liczba więźniów w tych obozach dochodziła do 85 tysięcy. Pod względem liczby więźniów podobóz Melk wymieniany jest na czwartym miejscu i liczył tym czasie ponad 10300 więźniów¹⁴.

Śmiertelność więźniów w obozie, z uwagi na panujące warunki, była bardzo duża. Co pewien czas przychodziły kilkusetosobowe nowe transporty więźniów na miejsce tych, którzy już nie żyli, a których trzeba było zastąpić w pracy. Po Nowym Roku napływ więźniów znacznie się zmniejszył z uwagi na przesuwany się front do granic Niemiec. W tej sytuacji więźniowie zmuszani byli do pracy nie tylko na jednej zmianie.

Około połowy lutego 1945 r. po powrocie z pierwszej zmiany, zostałem powiadomiony przez schreibera blokowego, że mam pójść do pracy na nocną zmianę, a więc za kilka godzin. Po otrzymaniu posiłku wieczornego, mając jeszcze przed sobą dwie godziny do apelu przed wyjściem do pracy, wyczerpany już fizycznie do granic wytrzymałości, przemierzony, z narażeniem na karę, położyłem się na górnej prycy, w kącie baraku i usnąłem. Obudziły mnie krzyki i zamieszanie w bloku. Usłyszałem swoje nazwisko kilkakrotnie wywoływane, co w warunkach obozowych nie zdarzało się, albowiem posługiwano się wyłącznie numerami więźniów. Nie wiedziałem, co się dzieje. Okazało się, że po sprawdzeniu więźniów przed wyjściem na plac apelowy, w komandzie brakuje jednego z nich. Stwierdzono na podstawie kartotek, że tym więźniem jestem właśnie ja. Koledzy powiedzieli mi, że numer mój wywoływany był wielokrotnie przez więźniów funkcyjnych i innych, a następnie zaczęto wywoływać moje nazwisko. Zerwałem się szybko z prycy i pobiegłem w stronę ustawionej kolumny. Zobaczył mnie schreiber

¹⁴ Informację zaczerpnąłem z książki St. Dobosiewicza *Mauthausen-Gusen obóz zagłady*, Wyd. MON 1977. W książce tej oraz jej drugiej części wydanej w 1980 r. autor zawarł bardzo bogaty materiał faktograficzny dotyczący martyrologii więźniów tych obozów oraz całego systemu organizacji machiny zmierzającej do unicestwienia więźniów poprzez różne formy działania

i blokowy. Natychmiast wymierzono mi karę. Kazano mi położyć się na stole, po czym blokowy uderzył mnie gumą 10 razy po plecach. Kiedy schodziłem ze stołu, jeszcze raz uderzył mnie w głowę. Kolumna więźniów z bloku 13 szybko udała się na plac apelowy. Więźniowie z wszystkich bloków już stali. Byliśmy ostatni, którzy zajęli swoje miejsce na placu apelowym. Blokführer SS-man zaczął krzyczeć na naszego blokowego, dlaczego spóźniliśmy się. Na co ten odpowiedział, że jeden z więźniów schował się, bo nie chciał iść do pracy. W wyniku tej informacji komendant obozu polecił policjantowi obozowemu (lagerpolizei) wymierzyć mi 25 „bykowców”. Ile „razów” dostałem nie wiem, pamiętam tylko, że doliczyłem na głos do czternastu. Liczenie głośne należało do obowiązku skazanego na bicie. Po odliczeniu głośno „czternaście” straciłem przytomność.

Tego dnia nie poszedłem już z komandem do pracy. Koledzy-więźniowie zanieśli mnie na rewir. Po kilku dniach wezwano mnie do pokoju, w którym urzędował lekarz SS-man. Byłem badany przez kilku lekarzy, między innymi przez lekarza w mundurze SS.

Następnego dnia, lub dwa dni później (dokładnie nie pamiętam) poddano mnie zabiegom. Otrzymałem kilka zastrzyków w nogę, powyżej kolana. W następnych dniach robiono mi okłady z jakiegoś ciemnego płynu, po których to zabiegach dostałem wysokiej temperatury. Noga spuchła mi, przybierając kolor czerwono-siny, a następnie zaczęły się tworzyć ropiejące rany na stopie, ponad kostką, pod kolanem oraz pod prawą pachą. Sanitariusz-więzień nazywany przez nas „Diadia Jasza” powiedział mi, że jest to „flegmona”. Według krążących po rewirze pogłosek, lekarze hitlerowscy prowadzili w tym czasie eksperymenty związane z tą chorobą. Wszyscy chorzy leżący razem ze mną w jednym pomieszczeniu byli podobnie jak ja z ropiejącymi ranami. Z braku miejsc leżeliśmy po trzech, czterech na jednym posłaniu. O śnie w ogóle nie mogło być mowy, ponieważ jeden drugiego bez przerwy urażał. Na mojej prycy leżało nas czterech, po dwóch z obu stron, nogami do siebie. Tak się złożyło, że moje miejsce było usytuowane z lewej strony, a więc moja chora noga była wciąż narażona na urazy. Leżeliśmy z nogami podkurczonymi.

Dodatkową plagą była niesamowita ilość wszy. Leżeliśmy nago, bez bielizny, przykryci jedynie jedną derką. Pod zawijane taśmami papieru opatrunki dostawało się robactwo i oprócz bardzo silnego bólu dokuczalo także niesamowite swędzenie. Śmiertelność chorych więźniów była bardzo duża. Niejeden więzień, leżący razem ze mną na jednym łóżku zmarł, a na jego miejsce czekali już inni. W takich warun-

kach przeleżałem aż do pierwszych dni kwietnia, to jest do ewakuacji obozu.

W nocy poprzedzającej dzień ewakuacji nikt nie spał. Więźniowie funkcyjni biegali zdenerwowani. Rozeszła się wiadomość, że zdrowi będą ewakuowani do Mauthausen pieszo, natomiast chorych będą likwidować. Wśród chorych na rewirze powstała panika. Tak dotrwaliliśmy do świtu. Rano na teren obozu przyjechały samochody ciężarowe (podobno były też furmanki) i zaczęto na nie ładować chorych więźniów z rewiru. Następnie przewieziono nas na stację kolejową w Melku, gdzie stał pociąg towarowy. Więźniowie, którzy mogli się poruszać, sami wchodzili do wagonu. Pozostających chorych wrzucano do wagonu jak snopy siana. W załadowanych wagonach wożono nas ponad dwie doby bez odrobiny jedzenia i picia, często trzymano nas na bocznicach. Trzeciego dnia rano pociąg zatrzymał się na stacji w Mauthausen. Cały czas nie wiedzieliśmy, jaki nam gotują los. Wagony zostały otoczone przez uzbrojonych wartowników (nie tylko SS-manów) i znów wśród krzyku i poganiania wyrzucano chorych więźniów z wagonów na peron. Padał drobny, gęsty deszcz, było bardzo zimno. Z wagonu naszego wyrzucono kilku nieżywych już więźniów. Podobnie z innych wagonów. Chorych więźniów przewożono do obozu samochodami ciężarowymi i chłopskimi furmankami. Z uwagi na małą ilość środków transportowych, przewożenie to trwało kilka godzin. Pierwsi do obozu pojechali ci, którzy mogli poruszać się sami. Inni chorzy czekali, aż w jakiejś kolejności wrzucą ich na samochód lub furmankę. Po kilku godzinach leżenia na peronie, na gołej ziemi, przemarznięty do szpiku kości, zobaczyłem znajomego więźnia, który pomagał ładować chorych na samochód. Zawołałem go ostatkiem wydobytych z siebie sił. Znajomy ten wraz z drugim więźniem zaniósł mnie do stojącej ciężarówki. Po przejściu przymusowej „mykwy”, jaka obowiązywała zawsze przy przyjęciu więźnia do obozu, rozebranych do naga, tych co mogli jeszcze chodzić popędzono na rewir. Innych, wśród nich i mnie, wyznaczani do tego więźniowie zawieźli czterokołowym wózkiem.

Warunki były okropne. Na rewirze przebywało w tym czasie kilka tysięcy chorych. Chorzy otrzymywali połowę głodowych racji żywnościowych, jakie wydawano więźniom w centralnym obozie. Na pryzkach przeznaczonych dla jednej osoby leżeliśmy po czterech. Położono mnie na najniższym poziomie. Wraz ze mną leżał młodszy ode mnie chyba o rok, a więc piętnastoletni Józio Rosołowski. Jego starszy brat zginął w obozie.

Pewnego dnia (dokładnej daty nie pamiętam) jeden ze współwięźniów leżących z nami na pryczy zmarł. O fakcie tym nie powiadomiliśmy „flegera” opiekującego się naszymi pryzkami. W ten sposób przejmowaliśmy jego racje żywnościowe, którymi dzieliliśmy się między sobą. Głód był silniejszy od tego, że wśród nas leży nieżywy człowiek. Stan taki trwał około trzech dni.

Około połowy kwietnia rozeszła się na rewirze wiadomość, że część chorych więźniów zostanie przewieziona z rewiru do obozu centralnego, gdzie otrzymywać będą większe racje żywnościowe dla poprawienia ich stanu zdrowia. Dawało to iskierkę nadziei na przeżycie i doczekanie wyzwolenia, tym bardziej że było nam wiadomo, iż w kierunku obozu zbliżają się z jednej strony wojska radzieckie, z drugiej zaś amerykańskie. Opiekującym się nami „flegere” był Polak z Warszawy – stary więzień, noszący numer niewiele ponad dwa tysiące. Pamiętam tylko, że przed aresztowaniem mieszkał przy ul. Wspólnej. Niestety nazwiska jego nie znam.

Rewir, w którym przebywałem, znajdował się poniżej centralnego obozu. I właśnie w czasie, kiedy mówiło się o przewiezieniu niektórych więźniów na górę, przyszedł do nas ów „flegger”. Powiedział mi oraz Józiovi Rosołowskiemu, żeby nie zgłaszać się w przypadku wywołania naszych numerów jako tych, których mają przewieźć na odżywienie. Powiadomił nas również, że podmienił nam numery na nieżyjących Francuzów. Ta informacja, jak również fakt, że podczas zabierania chorych z rewiru, bloki były obstawione SS-manami, świadczyły, że cel zabrania chorych więźniów był zupełnie inny, aniżeli ich odżywienie. Ale o tym dowiedzieliśmy się dopiero po wyzwoleniu. Więźniowie wybrani z rewirów w połowie kwietnia – byli gazowani.

Niewielkiej tylko liczbie więźniów udało się przeżyć, ponieważ nie zdążono ich zagazować. Krematorium paliło tylko więźniów zagazowanych, a tych którzy sami zmarli, wyrzucano z bloku na zewnątrz. W momencie wyzwolenia na stosach leżały setki trupów, których pochowano w zbiorowych mogiłach obok obozu.

Obóz Mauthausen został wyzwolony przez armię amerykańską 5 maja 1945 roku w godzinach przedpołudniowych. Dnia 5 maja władzę w obozie przejęły komitety narodowe więźniów, a 7 maja wojska amerykańskie. Natychmiast zorganizowano pomoc sanitarną. Najciężej chorych przewieziono do obozu centralnego, gdzie w jednym z bloków zorganizowano szpital ewakuacyjny oznakowany numerem 130. W tym też dniu przewieziono mnie na noszach samochodem sanitarnym Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Byłem skrajnie wyczerpany, nie miałem nawet możliwości samo-

dzielnego pożywiania się. Dodać muszę, że przy wzroście około 172 cm ważyłem zaledwie 34 kg. Karmili mnie między innymi dwaj moi koledzy przebywający także na rewirze, ale poruszający się jeszcze o własnych siłach. Byli to Zbyszek Wąsowicz, z którym od urodzenia mieszkalem w jednym domu przy ul. Zakroczymskiej 1 i z którym razem zabrany zostałem z Warszawy oraz Zdzisław Piskorek, z którym razem rozpoczynałem walkę w Powstaniu Warszawskim, a którego spotkałem dopiero w Mauthausen na rewirze.

Dnia 9 maja 1945 roku dokonano mi transfuzji krwi oraz poddano operacji. Operowano mi nogę w pięciu miejscach, zakładając dreny. Lekarzem, który mnie w tym szpitalu leczył, był Japończyk, kpt. Kawasaki.

W szpitalu leżałem aż do czasu powrotu do Kraju, to jest do połowy sierpnia 1945 roku. Wróciłem o kulach, z poważnym skurczem ścięgien pod kolanem, w obozowym pasiaku. Droga powrotna do Kraju była bardzo ciężka. Przez pierwsze kilka dni jechaliśmy odkrytymi wagonami towarowymi, które często odstawiane były na bocznice, zatrzymywane w polu, doczepiane do różnych pociągów. Żywność musieliśmy zdobywać na własną rękę. Ponieważ nie mogłem poruszać się swobodnie, byłem na łasce współtowarzyszy. Dopiero w Bratysławie do dyspozycji powracających z obozu Polaków oddano wagony osobowe, którymi dotarliśmy do punktu granicznego w Petrowicach. Tam przesiedliśmy się do polskich wagonów i dojechaliśmy do Dziedzic, do punktu repatriacyjnego. Podróż trwała 7 dni. W Dziedzicach ulokowano mnie na punkcie PCK i po załatwieniu formalności związanych z repatriacją pragnąłem jak najszybciej udać się w dalszą drogę do rodziny. Byłem jeszcze bardzo słaby, ale ważyłem już 42 kg! Otrzymałem zaświadczenie repatriacyjne uprawniające mnie między innymi do bezpłatnego przejazdu do rodziny w Dęblinie oraz 100 złotych zapomogi.

W miarę zbliżania się celu mojej podróży coraz bardziej wzrastał mój niepokój o losy rodziny. Nie miałem przez cały czas żadnych wiadomości. Mój szczęśliwy powrót do Kraju nie był radosny, ponieważ dowiedziałem się, że cztery osoby z najbliższej mojej rodziny nie żyją. Jak się bowiem dowiedziałem, wkrótce po moim rozstaniu z mamą i młodszymi siostrami na terenie magazynów w Warszawie na Stawkach w dniu 31 sierpnia 1944 roku z kolumny, w której była moja mama i siostry, Niemcy wyciągnęli dużą grupę ludzi starych, chorych a także dzieci, mówiąc że ludzie ci zostaną odwiezieni samochodami do obozu w Pruszkowie. Dopiero po wyzwoleniu okazało się, że wszystkich zamordowali na terenie fabryki przy ul. Okopowej. W grupie tej znalazła się moja

mama Anna mająca wówczas 44 lata oraz siostry Basia (lat 12) i Wandeczka (lat 4 i pół). W grupie tej Niemcy zamordowali również moich najbliższych sąsiadów: panią Cecylię Kamińską, panią Janinę Wąsowicz i jej dwudziestojednoletnią córkę Hannę, pana Józefa Tarczyńskiego z 30 kilkuletnią córką Stanisławą, panów: Józefa Wiaczkisa, Tadeusza Łopackiego, Tadeusza Marchlewskiego (byłego dyrektora Fabryki „Polski Fiat”), pana Mariana Krzezińskiego, małżeństwo o nazwisku Krowirando z dwudziestoczteroletnią córką Krystyną oraz małżeństwo z trojgiem dzieci poniżej dziesięciu lat, których nazwiska nie mogę sobie przypomnieć.

Należy dodać, że prawie wszyscy pozostali moi sąsiedzi zostali wywiezieni do obozów koncentracyjnych, gdzie wielu z nich zginęło. Wraz ze mną do Mauthausen wywieziono panów: Władysława Kielbasę, Stanisława Kabata, Jankowskiego (imienia nie pamiętam) Henryka Kamińskiego (lat 21), Władysława Łopackiego (lat 21) i Zbigniewa Wąsowicza (lat 19). Z tej grupy przeżył obóz tylko pan Władysław Kielbasa i Zbigniew Wąsowicz. Natomiast kobiety zostały wywiezione do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. W grupie tej znalazła się moja starsza siostra Maria (lat 19) oraz panie: Eleonora Krzezińska wraz z córką Janiną, Zofia Wiaczkis, Irena Kamińska (lat 19), Stanisława Wasilewska (jej siedemnastoletni syn Władysław został ranny w akcji na Czerniakowie i zamordowany przez hitlerowców w szpitalu polowym), p. Jankowska (imienia nie pamiętam) oraz gospodyni dyrektora Tadeusza Marchlewskiego – p. Łodzia (nazwiska nie pamiętam). Po odbyciu kwarantanny zostały przewiezione do obozu koncentracyjnego Neuengamme, podobóz Beendorf, skąd z grupą chorych więźniarek w ramach akcji humanitarnej prowadzonej przez Szweda hrabiego Bernadotte zostały przewiezione na leczenie do Szwecji. Miało to miejsce jeszcze przed wyzwoleniem obozu 1 maja 1945 roku.

Wraz z wymienioną grupą kobiet zostały wywiezione do Ravensbrück: pani Mery Jackson-Skryżalin (Angielka – żona pana Mikołaja Skryżalina) oraz pani Zofia Bem. Po krótkim pobycie w Ravensbrück obie zostały wywiezione prawdopodobnie do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Od tej pory ślad po nich zaginął.

Po moim powrocie do Kraju dowiedziałem się również, że podczas powstania 10 września 1944 roku na pl. Trzech Krzyży zginął mój starszy brat Waclaw. Z mojej najbliższej rodziny jedynie mój ojciec uniknął obozu koncentracyjnego, a to dlatego, że w momencie wybuchu Powstania znalazł się w okolicach ul. Złotej i nie mógł dotrzeć do domu na Starówkę. Po powstaniu został wywieziony w okolice Opoczna.

W okolicach Dębina przebywałem do końca października 1945 roku u dalszej rodziny. Tęsknota za rodzinnym miastem była tak silna, że nie mając żadnych widoków na możliwość podjęcia jakiegokolwiek pracy, przyjechałem wraz z ojcem do Warszawy. Byliśmy bez środków do życia, bez dachu nad głową. Mój ojciec miał wówczas 62 lata, był inwalidą z uszkodzonym stawem prawej ręki. Nie nadawał się do żadnej pracy.

Zaopiekowała się nami dalsza rodzina, przyjmując nas do pomieszczenia znajdującego się w piwnicy pięciopiętrowego budynku przy ul. Senatorskiej 19. Cztery oficyny tego domu były wypalone, w podwórku na trawniku było kilkanaście grobów. Nikt oprócz tej jednej rodziny koczującej w piwnicy w tym domu nie mieszkał. W pomieszczeniu, do którego nas przygarnięto, przebywało już osiem osób, a czasami i więcej. Spaliśmy na podłodze, rozkładając papierowe sienniki. O bardzo ciężkich warunkach życia może świadczyć fakt, że do najbliższej studni, z której można było czerpać wodę do picia, musieliśmy chodzić aż na ul. Mokotowską, a w późniejszym czasie na ul. Bednarską. Mimo tych warunków zdecydowałem się zostać z ojcem w Warszawie. Nie obrażałem siebie, abym mógł mieszkać gdzie indziej. Stopniowo trzeba było przyzwyczaić się. Było mi bardzo ciężko, nie mogłem pracować, poruszałem się przy pomocy kul.

W tak krótkiej relacji nie sposób jest opisać wszystkich przeżyć obozowych, tej straszliwej gehenny, tego upodlenia człowieka, a także warunków, w jakich przyszło mi żyć po wyzwoleniu.

Maturę zdawałem już jako dorosły człowiek, a następnie, po dziesięciu latach przerwy podjąłem studia wyższe uzyskując dyplom magistra ekonomii.

W 1981 roku, ze względu na pogarszający się stan zdrowia, przeszedłem na wcześniejszą emeryturę. Jestem inwalidą wojennym II grupy. Pomimo upływu tylu lat od tamtych straszliwych przeżyć obozowych, nie raz budzę się w nocy z łomotaniem serca, albo też spocony ze strachu w wyniku koszmarnych snów, w czasie których na nowo przeżywam pobyt w obozie. Skutki różnych chorób nabytych w obozie, a przede wszystkim flegmony (ropowicy) trwają do dziś.

W tej relacji starałem się opisać tylko te momenty, które wbiły mi się w pamięć w jakiś szczególny sposób. W obozie byłem więziony przez 244 dni. Okres ten powinno się podawać w minutach, albo nawet w sekundach, bowiem w każdej sekundzie więźniowi groziła śmierć.

Mając tak tragiczne doświadczenia z wojny, uważam, że najważniejszą sprawą dla człowieka jest życie w pokoju. Wojna przynosi obok straszliwych zniszczeń potworne ze-

zwierzczenie. Człowiek dla drugiego człowieka staje się wilkiem. Trzeba robić wszystko, aby nigdzie i nigdy więcej ludzie ludziom nie zgotowali takiego losu, aby żyjące i następne pokolenia nie przeżywały tego, co nam wypadło przeżyć.

Warszawa, czerwiec 1988 rok

PIEŚŃ SZARYCH SZEREGÓW

*Harcerska nas wiodła piosenka
Zrodzona wśród lasów i pól,
Piosenka radosna i piękna,
Co padła rażona od kul.*

*Przez kraju ruiny i zgliszcza,
Przez miasta spalone i wsie,
Z popiołów pożogi i zniszczeń
Wskresimy i wiarę, i pieśń.*

*Choć szare są nasze szeregi,
Choć wątłe i ramię, i dłoń,
My w każdej Ojczyzny potrzebie
Gotowi pochwyć za broń.*

Czesław Kalkasiński

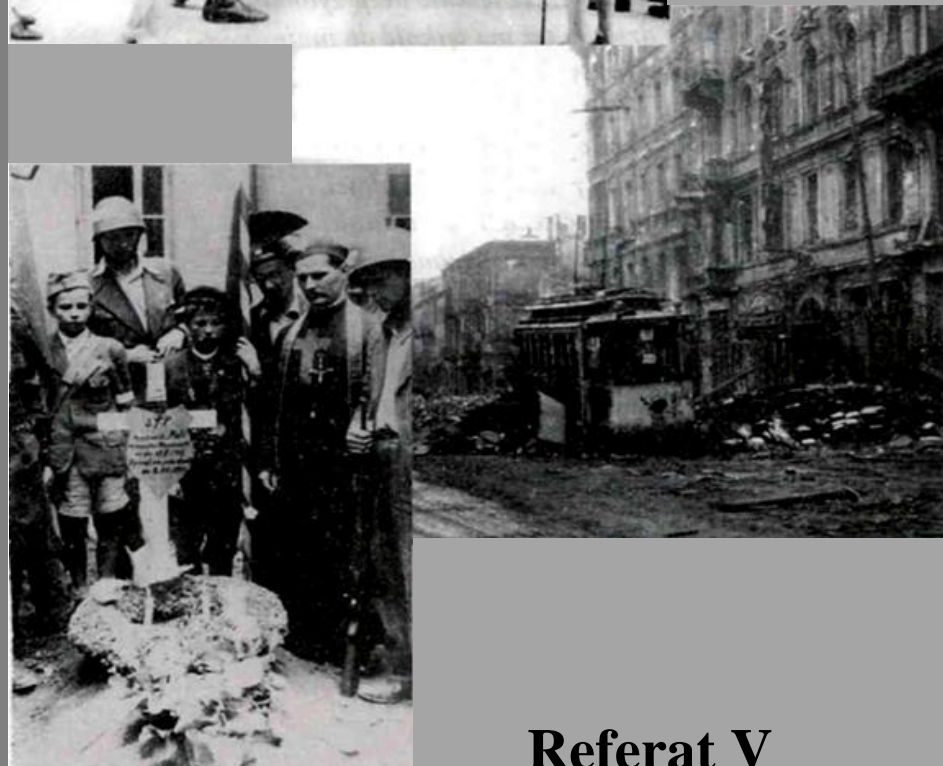
NAD POLEGŁYM POWSTAŃCEM

*Świt zrywa się za każdym wybuchem –
padasz.*

*Wolny, wzniesiony z rodzinnych wzgórz
słucham:
to tamtych salw tylko pogłos i pobłysk –
i z nocy, jak z okna spalonego domu, widzę:
to płonące ulice Warszawy
nad rannymi, walczącymi o śmierć z bronią,
rozwijają flagi pobojuwisk:
nieskończony skrwawiony bandaż.*

*Krwawisz –
wolny już.*

*Julian Przybóś
Gwoźnica, 3 sierpnia 1944*



Referat V

Wspomnienie z Powstania Warszawskiego 1944

CREDO („Bo jeśli to jest” - tytuł w rękopisie)

*Jeśli to ma być ceną Twojej wolności,
Polsko – Ojczyzno moja ukochana,
Że mam być bita i poniewierana,
Zdana na pastwę krzyżackiej podłości:*

*Jeśli za wszystkim, co mi w życiu drogie,
Długo mam jeszcze tęsknić bezprzytomnie
I moje dziecko też ma tęsknić do mnie
I za swą krzywdę żalić się przed Bogiem;*

*I jeśli w końcu śmierć mi przeznaczona –
Niech padnę pełna dumy i radości,
Jeśli to ma być ceną Twojej wolności
Polsko, Ojczyzno moja umęczona*

*Na sprawiedliwych boskich sądów szalę
Niech mnie rzuci Wszechmocna dłoń Boża
Dla Ciebie, Polsko, od morza do morza
Za twoją wolność i ku Twojej chwale.*

Halina Golczowa

Jestem obecnie kapłanem archidiecezji warszawskiej.

Urodziłem się w Warszawie w 1935 r., ochrzczony zostałem w kościele św. Trójcy na Powiślu. Komunię św. przyjąłem u ss. Szarytek na Tamce, w 1944 r., 2 miesiące przed wybuchem Powstania Warszawskiego.

Godzina „W” zastała mnie z rodzicami w miejscu zamieszkania, przy ul. Czerwonego Krzyża 1, na Powiślu. Gdy powstańcy już pierwszego dnia przegonili Niemców ze szpitala na Solcu, radość była wielka, że tak dobrze się zaczęło. Ale niestety, wojska niemieckie umocniły się w rejonie Muzeum Narodowego, a jeżdżące mostem Poniatowskiego czołgi siały zniszczenie, strzelając do kamienic stojących w pobliżu.

Dnia 3 sierpnia zajrzało nam w oczy pierwsze śmiertelne niebezpieczeństwo. Podpalono miotaczami ognia kamienice nr 1 i nr 2 przy ul. Czerwonego Krzyża. Rozległo się straszne „raus”. Mieszkańcy mieli parę minut na opuszczenie domu. W pośpiechu zabierano, co było pod ręką, co mogło doraźnie się przydać. Ale po co to wszystko? Za chwilę ustawiono nas pod filarami mostu kolejowego, a naprzeciw nas – stanowisko karabinów maszynowych i całe taśmy kul. Powstał jeden wielki płacz, lament i modlitwa. Po około 30 minutach oczekiwania przyszedł rozkaz, aby popędzić nas do Muzeum Narodowego, w Al. Jerozolimskie.

Tam trzymali nas dwa dni. Porem przeprowadzili selekcję. Młodych mężczyzn oddzielono od ich rodzin i wysłano do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu. Wtedy to ostatni raz widziałem ojca. Nie przeżył gehenny obozu. Zostawił mi na pamiątkę po sobie jedynie list pisany po niemiecku i podpis.

Kobiety, starców i dzieci wysłano ponownie na zgliszcza. Kamienica znajdująca się przy ul. 3. Maja 18 ocalała od spalania. W jej korytarzach i piwnicach skryło się ok. 200 osób.

Ponieważ zapasy kaszy i mąki szybko się skończyły, w oczy zajrzał nam głód.

Przetrwaliśmy tam pod niemieckimi bombardowaniami lotniczymi oraz obstrzałem z pociągu pancernego „Berta” aż do 17 sierpnia. Następna ewakuacja odbyła się pieszo po zgłiszczach Śródmieścia, Ochoty – aż do Okęcia. A potem koleją elektryczną do obozu przejściowego w Pruszkowie. Po kilku dniach odkrytymi wagonami do przewożenia węgla przewieziono nas do Piotrkowa Trybunalskiego, a tam zabrali nas – pogorzalców z Warszawy – gospodarze okolicznych wiosek. Ja z matką i młodszym bratem zamieszkałem we wsi Longinówka – 6 km od Piotrkowa. W listopadzie 1944 r. dotarła do nas wiadomość, że w Milanówku czekają na nas krewni. I tak w Milanówku w wielkim głodzie i niedostatku doczekaliśmy do wyzwolenia w dniu 17 stycznia 1945 r.

W sierpniu, dokładnie rok po Powstaniu, wróciliśmy do Warszawy. Wszystko było spalone i zniszczone. Zamieszkaaliśmy u znajomych na Targówku przy ul. Cmentarnej 14.

A teraz w wielkim skrócie. Byłem ministrantem w kościele Chrystusa Króla przy Tykocińskiej. Skończyłem liceum ogólnokształcące przy Oszmiańskiej. W roku 1953 wstąpiłem do warszawskiego Seminarium Duchownego, a w roku 1958 otrzymałem święcenia kapłańskie z rąk Ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego. A było to 3 sierpnia.

Czy to nie był znak od Boga? Dokładnie czternaście lat przedtem omal nie padłem pod kulami niemieckich karabinów maszynowych. Padłem przeto krzyżem na posadzce katedry warszawskiej, będącej jeszcze w odbudowie. Bogu niech będą dzięki za czterdzieści sześć lat kapłaństwa.

DRAMAT W KOŃSKIEJ ŻRENICY

(Rzecz dzieje się na Starym Mieście w 1944 roku)

*To wszystko chwilę widać na bohaterskiej arenie
żrenicy upadłego w wybuchu rumaka,
którego sam dorożkarz nawet nie oplakał,
bo nie wie nic – na barykadzie – przy cekaemie.*

To wszystko widać:

*Matka Boska ze ścian kościółka, który naprzeciw żrenicy
leży*

*– choć taką małą widać, że samiutka siebie
unosłaby na rękach zamiast swego synka.*

*I dom widać tak mały. Że całkiem zmieściłby się sobie
przez okno, przez wybitą szybę jedną
– dom jest mniejszy niż piórko na wróblim ognie,
który mignął nad końskiej żrenicy areną.*

*Teraz wróbel odleciał, a Marię zastąpił brutalnie
– zajął jej miejsce w żrenicy – z automatem –
żołnierz biegnący (pamiętasz wojsko ołowiane?),
maleńki schylony. O Mario! – upadnie!!*

*Upadł! Już Maria puste po nim wyciąga ramiona,
I widać poległego pięć większą niż dom
– to już będzie – nie wyrwie ręki żołnierz, lbem nie rzuci
koń,
na trwale hełm zmieniła Marii aureola.*

*W kącie źrenicy końskiej zieje ogień
– przy samej pięści zabitego na linii
łuna leży malutka – to kwiat georginii
– to tutaj opadły wiszące ogrody*

*(skrzynki z okien u pięter)
– ten koń się pewnie schylił, by uszczknąć zieleni
i wtedy granat trafił i stąd na arenie
kwiat u poległego zaciśniętej pięści.*

*Do stóp Marii niosą ciężki karabin maszynowy – i już bije
wściekły!
widać malutkich, zrywają się! – biegną,
rosną! Co to?! Raptem ciemność.
– Padł tuż przed końskim łbem dorożkarz niepodległy.*

Roman Bratny



Referat VI

NIE MA LITOŚCI

*Na Krakowskim
Na bruku Chrystus!
Krzyże drewniane
Wołają o litość!
Nie ma litości!!
Czołgi miażdżą ulice!
Domów czarne szkielety,
Zamordowane ptaki
Umarłe kwiaty,
Bezdomne psy.
My bezdomni
Na życia tułaczce.
Tylko deszcz,
Jesienny deszcz
Nad nami zapłacze.*

Władysława Siemaszko

WSZYSTKO CO KOCHALIŚMY

*Wszystko co kochaliśmy
Domy, parki, pomniki
Ulice znane od dziecka
Młodość i miłość
Wszystko nam zabrano.
Została nienawiść,
Śmierć, pogarda.
A miłość, pierwsza miłość
Na barykadzie padła.*

Władysława Siemaszko

Świt. Z cichych rozmów i zalękłych szeptów wylania się prawda. Idą Niemcy. Chłopców już nie ma. Podobno dziewięciu ostatnich odebrało sobie życie na barykadzie przy Nowym Mieście, broniąc jej do ostatka. Mgła wypełniająca podwórze unosi się, rozpraszają ją promienie słońca. Jest godzina szósta. Nagle wybucha strzelanina.

Do bramy wpada młody chłopak w panterce, z bronią w ręku. Wbiega po schodach frontowej oficyny, znika za zakrętem schodów. Idę za nim krok w krok. Na podeście pierwszego piętra stoi przeciwpożarowa beczka z piachem. Chłopak ściąga panterkę, rzuca ją do beczki, zagrzebuje. Rozgląda się. Rysy ostre, napięte, blade. Spostrzeża mnie, odwracam głowę, schodzę. Za sobą słyszę wolniejsze, ciężkie kroki żołnierza.

W bramie zamieszanie i tumult. Pielęgniarki z punktu sanitarnego likwidują wszelkie ślady pobytu w szpitaliku rannych powstańców. Ranni próbują swych sił, czy zdołają iść. Sposobi się prowizoryczne kule, laski.

Podwórze. Mężczyźni klnąc złorzeczą Niemcom. Ktoś wykrzykuje:

– Gdybym wiedział, że wejda, nie gasiłbym całą noc, lepiej było się wyspać.

Piwnica-schron. Gorączkowe przygotowania do wyjścia. Natychmiast. Piwnica ma okienka na ulicę. Jeśli Niemcy dojdą, rzucą granaty. Ludzie, zabierając resztki dobytku, opuszczają schron. Uchodźca z Woli, staruszek, w beładnym ruchu trzyma w ręku latarki. Ma ich dwie Henio, mój brat, prosz:

– Niech pan mi da jedną – Oddaje z uśmiechem. Lampka jest czarna z wypukłym szkłem. Do widzenia. Odchodzi. Przeglądam mój skarb, książki przyniesione z rozbitej księgarni Freta 5, chowam je wreszcie pod tapczan, na którym

leżał ranny kapitan „Dąbrowa”¹⁵. Piwnica zionie pustką. Rozdzielam zebrany komplet powstańczych pism. Zbierałem je skrzętnie dzień po dniu. Większe zostawiam, mniejsze schowam w spodniach, zaciskając pod kolaniem paseczkiem. Piwnica przypomina teraz pustą czaszkę powalonego domu. Wychodzę przez korytarz i sąsiednią piwnicę. Pod ścianą leżą dwaj ciężko ranni, nieprzytomni chłopcy. Zostaną. Nikt im mogiły nie usypie. Zimno mi.

Mama zakopuje w naszej piwnicy główkę maszyny do szybia i kolczyki siostry Jadzi, dostała je od swojej chrestnej matki. Biegnę do mieszkania. Otwieram drzwi. Wszystko pokryte kurzem, porozbijane, pocięte odłamkami. Ściany północne rozsunięte na dłoń, widać dachy i rury sąsiednich posesji. Tynk opadł z sufitu, na podłodze rozrzucone książki przygniecione półką. Ostało się akwarium. Jego ścianki pocięte arabeskami dróg ślimaczych. Woda w nim cuchnie. Wychodzę, zamykając drzwi na klucz. Żal mi, bardzo mi żal moich książek, wylepianych okrętów i samolotów, które sploną, żal akwarium. Kiedy będzie tu pożar, jego szybki nie wytrzymają żaru, pękną i wówczas ta drobina wody popłynie w ten żywioł.

Aaaaaa...! – okropny krzyk w mieszkaniu na parterze. To płacze matka dziecka urodzonego dzisiejszej nocy. Litościwie uwagi: „Jak ona będzie szła, biedactwo” – przerywa głośny nakaz: – jedziemy. – Odwracam głowę. To sąsiadka, pani Prządakowa, stoi nad garnkiem, a w nim, mój Boże, gorące mleko z białymi kluskami. Dostaję aluminiową łyżkę i talerz, spostrzegam, że ma je już wiele osób, ale nikt nie je. Sąsiadka prosi i argumentuje. Nie wiadomo, co z nami będzie, to najedzmy się chociaż do syta. Dlatego ugotowałam mleko w proszku, które miałam na czarną godzinę. Podnoszę łyżkę, nie mogę przełknąć ani kropli. Gardło mam zaciśnięte. Odstawiam talerz na pień do rąbania drewna, nieodłączny element każdego staromiejskiego śmietnika. Wciskam się w podniecony tłum. Mamy iść, a ja na nogach mam tylko stare drewniane trepki. Proszę więc znajomego szewca o jedną parę skórzanych butów, bo przecież jego podręczny magazyn i tak tu zostanie. Zgadza się, ale po chwili zastanowienia pyta:

– A jak my się będziemy liczyć? – Nie potrafię odpowiedzieć. Odchodzę.

¹⁵ Zdzisław Żukowski ps. Dąbrowa – w wieku lat 31 walczył w Legionie Wschodnim; w czasie Powstania oficer werbunkowy, następnie dowódca IV kompanii Batalionu im. St. Czarnieckiego. Ciężko ranny, z amputowaną stopą przeniesiony do szpitalika w Śródmieściu przez grupę uwolnionych z „Gęsiówki” Żydów.

Godzina ósma. W ciszy słyhać wrzask niemieckich komend. Wszyscy patrzymy w bramę. Wbiega esesman. Zielony mundur, zawinięte rękawy, hełm z okularami ochronnymi od dymu, rozpylacz w rękę i granaty. Wszędzie. Za pasem, w cholewach butów, zaczepony o skórzane na plecach szelki. Pochylony ryczy w głąb podwórza.

– Alles raus! – Odpowiada mu szmer niepewności i lęku. Chwila oczekiwania i ponowne „Alles raus”, poparte znaczącym gestem uzbrojonej ręki.

– Trzeba wyjść, on nie wejdzie, bo się nas boi, zacznie rzucać granaty. – To zdanie wypowiedziane głośno sprawia, że stojący w bramie ruszają. Wychodzimy kolejno, szeregiem. Z legitymacją szkolną w podniesionych nad głowę rękach wchodzę w tunel bramy. Ażurowa lampa meluzyna, żelazne drzwi składu aptecznego z ukreconymi przez wybuch sztabami. Ulica – moja ulica. Wylot bramy otoczony kręgiem nienawistnych mundurów. Słońce razi oczy. Urękawiczony oficer SS. Pani X, mówiąca biegle po niemiecku, pyta, co z nami będzie. Niemiec odpowiada uspokajająco:

– Nic, wyjdziecie do placu Zamkowego i sprawdzimy dokumenty i... powrócicie. – I nie ukrywając zdumienia dodaje: – Ale skąd was tu tyle jest? A ludzie wychodzą zewsząd. Z otworów okienek piwnicznych, z resztek bram i sklepów wyciekają w wąwóz rozwalonej ulicy gromady bladych, wynędzniałych, odcinających się czernią ubrań od ceglanego otoczenia mieszkańcy. Bici i spychani na parzystą stronę ulicy formujemy kolumnę. Pani X ponawia pytanie do następnego Niemca. Ale brzmi ono inaczej.

– Co będzie z domami? – Niemiec ryczy: – Milczeć – i kopiąc cegłę wściekle, z rozmachem, wyjaśnia:

– Tu, o właśnie to.

– Jasne, spalą wszystko. Ten powiedział prawdę. To tamten ugrzeczniiony kłamał.

Ruszamy wolno otoczeni eskortą: własowców, Niemców. Przełazą barykadę w wąskiej Freta. Powiększyła się o połowę zwalonego na nią domu. Wysoka do drugiego piętra, sterczy w niebo zdmuchniętym wiązaniem dachu. Wśród gruzu sterczą belki. O jedną z nich zawadza nogą zbiegający żołdak. Pada na ziemię. Wstaje. Strzela do najbliższej stojącego mężczyzny, a potem wzdłuż ruszającej kolumny.

Gorąco. Mijamy bramy Freta 14, 12, 10 wychodzą ludzie. Odwracam głowę i spotykam oko w oko wzrok pijanego zbiara. Stoi ukryty za kamienną figurą Najświętszej Marii Panny w kruchcie kościoła oo. Dominikanów¹⁶ Jest olbrzymi, obwieszony taśmami naboju, w rozpiętym mundurze i koszuli,

¹⁶ Kościół i klasztor Dominikanów, pw. św. Jacka przy ul. Freta 10, w pobliżu Mostowej

w rękę erkaem. Kołysze się na nogach, wodząc wylotem lufy po przechodzącym tłumie. Umykam jego wzrokowi, by nie sprowokować nieszczęścia. Mijamy wylot ulicy Długiej. Na barykadzie biała chorągiewka. Pali się dom nr 5. Z Mostowej dołączają wypędzeni wśród klątw dalsi wygnańcy. Ustawiczna strzelanina, wymyślania, grabież. Przy Podwalu barykada. Serce ciśnie się do gardła. Na szczycie barykady okrągłe, równo ułożone kuliste formy. Jak hełmy. Może to ci ostatni zastrzeleni obrońcy. Powoli, krok za krokiem zbliżamy się do przejścia. Nie, to łuski od pocisków. Zakręt w prawo. Rozbite sklepy – papierniczy, mydlarnia. W jej wnętrzu kobieta zmagająca się w milczeniu z esesmanami. Oparta o kontuar desperacko odpycha pijanych żołdaków. Kolumna nieustannie poganiana posuwa się ku starym murom Warszawy. Ogluszające serie peemów. Płonie „Krzywa Latarnia”¹⁷, szpitalik „Pod Czarnym Łabędziem”, dawniej winiarnia i restauracja. Wchodzimy w bramę nad fosą. Ciężki, tłusty, smolisty dym wydobywa się ze sklepu zegarmistrza. Tu mieszkał szewc Bodower, tu u profesora N. miałem się uczyć gry na skrzypcach. Teraz maleńkie przejście otoczone esesmanami. Podchodzimy pojedynczo. Rewidują, szukając broni. Wrzask komendy: „Los, los”. Przechodzimy.

Szeroki Dunaj. Prawej strony nie ma. Narożnik przy Piwnej sterczy chyba po to, żeby wyznaczać drogę. Rozwalona bombami jezdnia zalana wodą z pękniętych rur. Ludzie padają na jezdnię i łapczywie piją. Niemiecki operator podnosi kamerę, kręci. Na gruzach obok stoi wiklinowe łódeczko dziecięce – zaścielone białą czystą kapą nietknięte – skąd?

Skręcamy w Piwną. Szarpanie kobiet. Płonie dom przy Piekarskiej. Trzeba przeskoczyć pod oknem konwojentów z tej na tamtą stronę. Eskorta przekazuje nas sobie, nie przebiegając.

Zapiecek. Z ciężkiej ostrej powłoki cegieł okaleczone drzewa. Są jednak znacznie niższe niż były. Zrozumiałem. Idziemy po gruzach zwalonych kamienic kilka metrów nad jezdnią. Obok mnie idzie mężczyzna z butelką w rękę. Podbiega własowiec, wyrywa mu ją. Łapczywie pociąga.

– Olej... olej... – krzyczy rozpaczliwie mężczyzna. Żołdak wściekły rzuca butelkę o ścianę i kolbą karabinu bije po głowie raz i drugi. Śmiertelnie. Świętojańska. W drzwiach dawnej cukierni siedzi na skrzynce własowiec. W rękę trzyma model nieznanego mi karabinu. Starając się obejrzeć go, dobrze lawiruję, na brzeg kolumny. Gdy zaczyna nabijać komorę karabinu pociskami, zatrzymuję się i uważnie przyglądam. Idący za mną popycha mnie, szepcząc:

¹⁷ Szpital powstańczy „Pod Krzywą Latarnią” przy ul. Podwale 25

– Czego stoisz, nie zatrzymuj się. – Wyjaśniam bez sensu, byle coś powiedzieć:

– Tu sprzedawali cukierki.

Własowiec wolno podnosi głowę i niespodziewanie, zatraskując zamek karabinu, odzywa się po polsku:

– To są teraz cukierki dla was. – Podchodzimy pod wielkie usypisko cegieł. Zwalone domy przegrodziły jezdnię. Rumowisko sterczy do pierwszego piętra. Wolno, krok za krokiem, podchodzimy ku górze. Przed szczytem usypiska leży staruszka. Przewróciła się twarzą we ceglana powłokę. Nie podniesie się sama, to widać. I odruch serca, by pomóc, zostaje zabity ostrzeżeniem podawanym z ust do ust wzdłuż idącej kolumny.

– Uwaga, nie pomagać, strzela esesman. – Istotnie. Jeszcze dwa kroki i tuż za ścianką, ukryty, stoi żołdak. Niżej, po drugiej stronie usypiska, leży zabity mężczyzna. Wzdłuż kolumny przekazywane są szeptem ostrzeżenia, domysły, plotki. Schodzimy do poziomu jezdni, gdy doprowadzający esesman kieruje tłum do zburzonego kościoła Jezuitów¹⁸. Momentalnie wybucha panika. Domysł – wpędzą nas do kościoła i zasypią bombami jest równie prawdopodobny, co przerażający. Wchodzimy w rozbitą kryptę kościoła. Tłum szczerze wypełnia nawy. Rozbity główny ołtarz, kopuła stropu czarna od pożaru, rozerwana. Widać przez nią na tle nieba krążące samoloty.

Na wprost przez rozwaloną ścianę widać róg Jezuickiej i Kanonii. Wycięty framugą urwanych drzwi – słoneczny blask. Obok mnie wśród tłumy człowiek z żyrandolem w rękę i małpką na ramieniu. Małpa stroi pocieszne miny, nie mniej przerażona niż my wszyscy. Oparty o ścianę kaplicy spostrzegam wśród gruzów biało-czerwone opaski. Leżą za kamiennym lwem. Na żółtych kwadratach posadzki odcinają się wyraźnie. Obok niemieckie hełmy i bardzo wiele trzonków od granatów ręcznych.

Ruszamy. Brzęczy pod stopami ozdobna płyta metalowa dzieląca posadzkę. Prawa część kruchty wyżarta pociskiem. Widać stąd barykadę przy placu Zamkowym.

Katedra. Zawalone złomem figur i ścian drzwi. Wzrok wspina się ku górze po ocalałym frontonie. Dzwonnica i ukryty pod nią samochód pancerny z biało-czerwonymi znakami. Zdobywczy. Prawa część ulicy, dom za domem, rozbita bombami. „Tu mieszkał Zdzisiek Czaja, tu mieszkał Zdzisiek Czaja ...” – myśl natrętnie kołuje w głowie.

Plac Zamkowy. Wielki ring wyłożony drewnianą kostką. Arena miesięcznych zmagañ. Wyloty Piwnej, Świętojań-

¹⁸ Kościół Jezuitów pw. Najświętszej Marii Panny Łaskawej przy ul. Świętojańskiej 10, wzniesiony w latach 1608-1620.

skiej, Podwala zamknięte barykadami. Zawalony zakład pogrzebowy przy Pivnej. Spalone frontony domów, kikuty latarni. Wypalone przy Podwalu ściany wyglądają jak czarne wędrujące słonie. Za ruinami Senatorskiej pędzą w niebo raz po raz żółte, migotliwe rakiety. Niemcy dają znać samolotom, że już zajęli teren. Spalona kamienica Johna¹⁹. Postrzelane świerki. Zamek. U stóp Wieży Zegarowej przed wylotem bramy Niemcy ułożyli barykadę z worków napełnionych piachem. Na niej oparte kaemy. Wychodzimy na środek placu. Przed linią powstańczej obrony tkwią wraki spalonych czołgów. Jeden, dwa, trzy, cztery – stosy rudego poskręcane go żelastwa. Przede mną idzie siostra szarytka w białym kornecie, którego skrzydła jak wielki kwiat dalii kołyszą się na wietrze. Drewniana kostka tłumi kroki. Przed narożnikiem Zamku, na wprost zwałonej Kolumny, czołg. Wzdłuż maszyny tkwią zamocowane wielkie pancerne blachy. To dla ochrony jadącej do natarcia piechoty. Na wieży siedzi uśmiechnięty pancernik. Zawinięte rękawy, w rękę peem. Niemcy prowadzą na potrzaskaną Kolumnę²⁰. Omijamy ją. Rzucony wznak z obelisku z wytraconą z dłoni szablą spiżowy król. Obok za podstawą pomnika stanowisko niemieckiego kaemu. Otoczeni eskortą niemieckich żołnierzy dochodzimy do Nowego Zjazdu. Znow przebiega plotka przez tłum:

– Wpędzą nas na most i razem z nim wysadzą. – Lęk chwyta za gardło. Mijamy zionący pustką wiadukt Pancera²¹ z uczuciem ulgi. I tym razem żyjemy. Skręcamy w Mariensztat. Biegająca ku Wiśle skarpe dzieli w połowie jak klin wypalony dom. Część prawa to dalszy ciąg Mariensztatu, część lewa to ulica Źródłana.

Mariensztat pęcznieje wzbierającym tłumem. Na murze wzmacniającym skarpe, zbiegając ze stanowisk u stóp kościoła św. Anny, ustawiają się Niemcy. W rękach kaemy i rozpylacze, wymierzone w plecy nas idących. Ktoś ostrzega, że mogą nas tutaj wszystkich wystrzelać. Staram się iść maksymalnie blisko ściany, jak najdalej od zasięgu pierwszych bezpośrednich strzałów. Oglądam się raz i drugi. Niemcy fotografują przechodzących i wskazują palcami. Zabawne i ucieszne dla nich widowisko.

¹⁹ Kamienica Johna – Krakowskie Przedmieście 89, róg pl. Zamkowego i Senatorskiej zbudowana przed r. 1743, własność adwokata Johna od 1909, wypalona w r. 1944, odbudowana na płycie tunelu.

²⁰ Kolumna króla Zygmunta III ustawiona w r. 1643.

²¹ Wiadukt Pancera – monumentalny zjazd do Wisły i projektowanego mostu wzniesiony w latach 1844-1846 wg projektu Feliksa Pancera służył jako dojazd od Krakowskiego Przedmieścia, a początkowo do mostu pontonowego przy Bednarskiej, następnie do mostu Kierbecizia; zniszczony w r. 1944, rozebrany w związku z wytyczeniem Trasy WZ w latach 1947-1948.

Olbrzymie, spalone domy Schichta²². Skręcamy w Sowią. Maleńka uliczka wypalona całkowicie. Po lewej stronie, w kierunku Dobrej, wśród skoszonych ścian szczątki zestrzelonego samolotu. Podobno niemieckiego. Niepostrzeżenie, Niemcy przechodzą na wewnętrzzną stronę pochod. Kolumna skręca, dochodzimy do skrzyżowania Sowi-Bednarska. Na moment zatrzymujemy się na wprost ulicy Furmańskiej. Dziwnej ulicy, straszącej spalonymi kikutami ścian, rozbitym słupem ogłoszeniowym płonącymi na środku jezdni szmatami. Ale jej dziwność zamyka się w milczeniu. Zawarte na glucho bramy, widoczna w głębi polska barykada, szopy i budy oparte o szczytowe ściany kamienic z okienkami strychów tchną milczącym wyczekiwaniem. To broniące się jeszcze Powiśle. Jesteśmy obserwowani, a przecież nie odezwie się żaden głos, nie obsunie lawina cegieł, trwa tylko paraliżujące milczenie. A my wolno, bardzo wolno ciągniemy ku górze. Czerwone oparzeliny murów po prawej stronie Bednarskiej skaczą dramatycznym wykresem na tle zadymionego nieba. Kolega Jurek Kunicki prosi, bym pomógł mu nieść koca. Ma dwa. Biorę jeden, gdy po chwili Mama żąda kategorycznie:

– Oddaj mu to. Ten koc jest niemiecki jeszcze się przyczepią. – Oddaję z zażenowaniem. Z domu Res Sacra Miser²³ wydobywają się kłęby dymu. Krakowskie Przedmieście. Pod nogami trzeszczą płytki z rozbitych łaźni Fajansa. Odruchowo spojrzenie ku Starówce. Przeróżliwie mocno i jasno świecą ściany wypalonych domów przy Miodowej. Wyjaśnia się też przyczyna naszej okrężnej drogi Mariensztatem. Na jezdni między Resursą²⁴ a statuą Matki Boskiej Passawskiej²⁵ stoją działka niemieckiej piechoty skierowane ku stanowiskom powstańczym przy katedrze i Pivnej, zajmują całą szerokość jezdni. Ich usunięcie, dla przejścia wypędzonych mieszkańców Starówki osłabiałoby szkielet natarcia wroga. Pierwsze siostry Czerwonego Krzyża. Znow ostrzeżenie, że to są Niemki, a wiec „nie należy od nich nic brać”. Czy tak jest – nie wiem. Podają kawę i kilka osób pije. Dookoła

²² Dom Schichta – wielopiętrowa kamienica przy ul. Nowy Zjazd z charakterystyczną reklamą świetlną mydła firmy Schicht; po zniszczeniach wojennych i odbudowie siedziba Rady Związków Zawodowych.

²³ Zabudowania Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności przy Krakowskim Przedmieściu 62, przebudowane z siedemnastowiecznego pałacu w r. 1819 wg projektu Antoniego Coraziego z charakterystycznym napisem łacińskim: Res Sacra Miser – Nędza rzeczą świętą

²⁴ Neorenesansowy gmach Resursy Obywatelskiej wzniesiony w latach 1860-1861, spalony w r. 1944; odbudowany, mieści obecnie Towarzystwo Współpracy z Polonią Zagraniczną „Polonia”.

²⁵ Statua Matki Boskiej Passawskiej na skwerze Krakowskiego Przedmieścia barokowa, wzniesiona w r. 1683, fundacji Jana III, dłuta Józefa Szymona Bellottiego dla uczczenia zwycięstwa pod Wiedniem.

zniszczenia, jakże różne od zniszczeń wewnątrz dzielnicy. Poczta Saska²⁶ sterczy spalona jak widmo z bajki. Pogiety neon przy Trębackiej. Domy przy Koziej, tu gdzie kupowałem książki, teraz rzucone na asfalt. W długich spiralach pełną po chodnikach porwane przewody sieci tramwajowej. Wszystko spalone, wszystko! Czerń okopconych ścian popstrzona bielą odpadających tynków. W głębi Krakowskiego Przedmieścia w gęstej kurzawie świszczą strzały. Zawieszony nad miastem całun dymu i sadzy gnany wiatrem zasnuwa niespodziewanie bądź rozpierchnięty przepuszcza światło słońca na poszczególne fragmenty tej powalonej ulicy. Idąc w słońcu, widzimy ścianę pędzącego mroku nad kościołem św. Krzyża i Nowym Światem. Tam wre walka. Wśród tłumu szerzy się plotka:

– Popędzą nas przed czołgiem. – Idziemy wolno ku swemu przeznaczeniu. Hotel „Bristol”²⁷. Ukryty we wnęce żandarm nakazuje ruchem ręki skrócić w maleńką uliczkę Ossolińskich. Odprężenie. W oknach Hotelu Europejskiego²⁸ pełno Niemców. Cały budynek wypełniony żołnierzami. Zasłonięci przed kulami powstańców Śródmieścia, leżą w oknach rozebrani do pasa, jedzą, czyszczą broń, fotografują. W milczeniu wychodzimy na plac Piłsudskiego²⁹. Na wprost po trawnikach brodzą czołgi w obłokach spalin. Możliwość marszu przed nimi staje się prawdopodobna. Czołgi, gniotąc ziemię i płyty placu, grzechocząc gąsienicami rozwijają szyk w kierunku „Zachęty”³⁰. Odjeżdżają.

Wierzbowa. Niepokojąco szybko przybywa konwojentów – własowców. Zrywają zegarki, obrączki, pierścionki, biją przy najmniejszej próbie protestu. Daleka perspektywa w kierunku Banku Polskiego przykuwa na moment uwagę. Olbrzymia czynszówka przy ulicy Alberta spalona. Nieco dalej barykada z pogruchotanym samochodem. Narożny sklep wypalony całkowicie. Widać to przez opuszczone aż do ziemi kraty. Na jezdni stoi duży, pięknie złożony zegar.

²⁶ Tzw. Poczta Saska – pałac Wesłów przy Krakowskim Przedmieściu 25 zbudowany ok. 1750 w stylu rokokowym, od 1780 siedziba poczty królewskiej utrzymującej komunikację z Saksonią; poczta mieściła się tu prawie sto lat.

²⁷ Hotel „Bristol” – u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Karowej wzniesiony w latach 1899-1901 przez Wł. Marconiego, współwłaścicielem był Ignacy Paderewski.

²⁸ Hotel Europejski, wzniesiony etapami w latach 1855-1858 i 1876-1877 wg projektu Henryka Marconiego, neorenesansowy; pierwszy nowoczesny hotel w Warszawie

²⁹ Dawny dziedziniec pałacu Saskiego, późniejszy plac Saski, w latach 1928-1939 plac Józefa Piłsudskiego.

³⁰ Gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych „Zachęta” przy pl. Małachowskiego, zbudowany w latach 1898-1900 i 1903 wg projektu Stefana Szyllera; ekлекtyczny; siedziba wystaw plastycznych

Własowiec krzyczy rozkazująco. Skręcamy w uliczkę Fredry. Przed Ogrodem Saskim wysoka metalowa siatka – bardzo wysoka – opleciona dzikim winem. Po prawej słup rozdzielczy elektrowni. Obok niego grupa pijanych Kałmuków. Nakazują po polsku:

– Wyrzucać wszystko, bo i tak wam nie będzie potrzebne.
– Na poparcie tych słów strzelają gęsto z pistoletów.

Ludzie rzucają posłusznie resztki dobytku. Paczki i zawiniątka, pieniądze papierowe i monety leżą na jezdni. Wchodzimy w Ogród³¹. Bokiem jak psy pomykają konwojenci uzbrojeni w karabiny maszynowe. Gęsta trawa tłumi kroki tysięcy idących według szalejącej plotki – na śmierć.

– Doprowadzą nas do wykopanych rowów i rozwał. – Po lazurowym niebie gwizdzą przelatujące skierowane na Śródmieście pociski. Pod nogami długie sploty wykopanych rowów. Żółta ziemia jak glista zwija się wzdłuż brzegów okopów. Gdzieś niedaleko terkoce karabin maszynowy. Wchodzimy na brzeg wykopu, długie jak wieczność sekundy... i... przechodzimy. Plac Bankowy³². Palba z Ogrodu milknie. Przed nami płonąca ulica Elektoralna. Pochód rozciągnął się, rozluźnił. Umęczeni ludzie, ubrani w palta, dźwigający dzieci, starców i rannych, odurzeni nadmierną po miesięcznym koczowaniu w piwnicy ilością światła i słońca nie nadążają za esesmanami. Żołnierze poganiają więc kolumnę strzelając do pozostających w tyle. Płonie wielki dom z czerwoną polerowaną okładziną. Wśród dymu, na części oberwanego balkonu wiszą zwłoki człowieka.

Chłodna. Kościół. Na placu wiele czołgów i wozów pancernych. Skwerek poryty okopami. Rowy są płytkie, pełne pościeli i bielizny. Na poszwach, kołdrach i pierzynach, z poduszkami pod głową leżą żołdacy. Pałają papierosy, jedzą. Z chrzęstem ruszają pojazdy. Łoskot żelastwa gęszymi strzelaniną. Czołgi jadą wzdłuż maszerującej kolumny. Mijamy pogniecione, podarte kulami, poprzewracane tramwaje. Straszą wyciągniętymi tarczami buforów. Mijając je dostrzegam, że nasza kolumna powiększyła się o nowe gromady wypędzonych – tym razem resztek mieszkańców Woli. Gorąco. Ludzie w chwilach maleńkich postojów, nie bacząc na zakazy, siadają na krawężnikach, chodniku, jezdni. Wody, wody. Upał i swąd spalonego miasta wysuszają usta, zalewają oczy potem.

³¹ Ogród Saski – część założenia pałacowo-urbanistycznego z lat 1713-1748 projektowanego przez architektów królewskich, udostępniony publiczności w 1727 r., wielokrotnie przekomponowywany. W czasie Powstania miejsce egzekucji niemieckich, znacznie zniszczony.

³² Plac Bankowy pomiędzy al. Solidarności i wylotami ul. Senatorskiej i Elektoralnej, wytyczony w r. 1823 i w związku z budową tzw. pałaców skarbowych, projektu Corazziego, w latach pięćdziesiątych XX w. znacznie poszerzony.

Równoległe do nas idą w tym samym kierunku na Wolę – po przeciwnej ocenionej stronie ulicy – długim szeregiem żołnierze Wehrmachtu. Idą w milczeniu bez pasów i broni, w rozpiętych mundurach. To wczorajsi jeńcy Starówki uwolnieni po jej zajęciu. Z przejeżdżającego furgonu dostają chleb i widzę, jak oferują go „na migi” uchodźcom. Pijani żołnierze formują na nowo rozciągniętą kolumnę. Mijamy Towarówą. Na prawo pod murem trupy. Gwar milknie. Ulica przeraźliwie pusta i uprzątnięta. Po usypiskach Starówki ta spalona część miasta, którą idziemy, czyni przedziwne wrażenie. Apokaliptyczny pożar strawił wszystko. Zatrzaśnięte bramy bronią tajemnicy, kto z mieszkańców legł zamordowany w podwórze.

Dochodzimy do Wolskiej. Na jezdni ustawiono w stopy pociski do „szaf”. Obok, w koszulach z peemami w rękę, Niemcy. Na hełmach okulary od dymu czy słońca. Przed Skierniewicką wyciągają z szeregu rannego mężczyznę, chwytają pod ręce, prowadzą. Żandarm podaje mu kubek wody z manierki. Nie rozumiem, co to znaczy, ale sprawa wyjaśnia się za chwilę. Na samochodzie przy kamerze filmowej – operator. Ujęcie za ujęciem rejestruje maszerujących. Po kilku krokach esesmani odtrącają prowadzonego w głąb kolumny. Przed drzwiami spalonego sklepu trupy mężczyzn. Obok inni z rękoma podniesionymi do góry. Esesmani i włosowcy manipulują zamkami karabinów, czyniąc je gotowymi do strzału, i powtarzają nie milknąc: „Schneller ... schneller!” Ich gorliwość ma swoje uzasadnienie wobec grupy oficerów ustawionych wzdłuż parkan ogradzającego kościół św. Stanisława. Wśród nich jakiś wyższy stopniem. Przez tłum przebiega nowe, tajemnicze i groźne słowo – selekcja. Na daszku publicznego szaletu znów operator w otoczeniu licznych fotoamatorów. Brama przed wejściem głównym szeroko otwarta. Wejść tam, to znaczy zginąć. Esesmani oddzielają szereg za szeregiem i wolno podchodzimy ku bramie. Mężczyźni wyluskani z szeregu razami kolb odchodzą na bok. Słyszę szept Mamy:

– Pochyl się, pochyl. – Idę po zewnętrznej stronie szeregu, kulejąc bardziej, niż tego wymagają bolące nogi. Przeraźliwy płacz kobiet i dzieci oddzielanych od ojców, synów i mężów został za nami. Przeszliśmy razem. Selekcja opóźnia pochód. Esesmani zbierają grupy na wprost jasnych, nowych domów za kościołem. Jezdnia i chodniki zasypane szkłem, ale domy całe. Ruszamy, skręcając w uliczkę na lewo. Nigdy tutaj nie byłem. Odczytuję więc uważnie dwusylabową nazwę ulicy – Bema. Jezdnia złożona z kocich łbów, wąski chodnik, obskurny rynsztok z kratką przechwytyjącą śmieci. Pokryte już nalotem korozji szyny tramwaju. Wąskie gardło uliczki wy-

pełnił tłum, w którym znikli konwojenci. Poczułem się dziwnie bezpieczny. Po wielkich wypalonych ulicach, po olbrzymich domach rozmieszczonych żelazem ta mała uliczka stała się na moment oazą spokoju, ale tylko na moment. Ulica poszerzyła się gwałtownie. Na lewo jasny budynek pełen wojska, na prawo w podwórkach za drewnianymi bramami drewniaków krzyki kobiet: „Na pomoc”. Ludzie potykają się o wykroty i dziury jezdni, przyspieszają kroku. a stopniach sklepików i warsztatów siedzą pijani żołnierze, lustrując uważnie dum. Słońce sączy teraz upiorną poświatę. Dochodzimy do ogródków działkowych. Dym ustąpił. Przed nami pole pełne krzaków z pomidorami. Przystajemy! Kilka osób biegnie ku krzakom. Pryska bariera ośpienia, ludzie pędzą gromadnie ku ogrodowi, wsiąkają weń, pochyleni nad upragnionym owocem. Chcę pobiec z nimi, gdy od czoła kolumny, tam, gdzie zgrupowali się konwojenci, zaterkotała długa, trzeszcząca seria. Metal tnie dopadających pomidorów ludzi, kosi rośliny, wybija śmiertelny werbel na żółtej ścianie samotnego domu, stojącego w głębi posesji. Ziemia grabiona pociskami przesłania ogród kurzem. Ruszamy wzdłuż ceglano-bielonego wapnem, muru. Semafor, przekładnie, urządzenie kolejowe, podkłady w stosach sycą powietrze zapachem smarów. Stacja. Wysokie perony kolei elektrycznej. Ludzie walą się pokotem w kurzawę przejazdu na betonową rampę, zalegają sągi równo pociętego drewna. Dzieci płaczą przypieczone słońcem, które zatoczyło łuk nad miastem. Jest piąta po południu. Nad tłumem na podeście słupa trakcyjnego stoi – żandarm. Tkwi nieruchomo, z karabinem na biodrze. Przed nami płonąca Warszawa. Wielka, dymiąca, szara panorama ruin. Widoczne z bliska zniszczenia, z daleka zatarty swój kształt, tworząc ogromny czerep. Warszawa, miasto z którego wychodzimy, a czy wrócimy do niego?

Na zadymionym niebie ukazują się nurkowce – trójkami, zataczają łuk nad Śródmieściem – bombardują. Nagle jeden z nich załamuje swój lot i spada ku dachom kamienic jak jastrząb. Na moment ginie z oczu za horyzontem, by wystrzelić z powrotem w górę pod bardzo ostrym kątem. Za nim wydobywa się z linii dachów chmura kurzu i dymu, strzępy czegoś, co wygląda jak połamane deski, powyginana blacha. Powietrze pluje po chwili eksplozją. Samoloty powtarzają ten manewr wielokrotnie na oczach milczącego tłumu, po czym odlatują płaskim, spokojnym lotem, ustępując miejsca następnej szóstce.

Ach, więc to tak wygląda bombardowanie – z boku, gdy bomba nie spada na głowę, gdy nie słyhać wycia pikującej maszyny. Jak niemy film, jak niemy film.

Żandarm poprawił broń, ujmując ją do strzału. Obok, po sąsiednich torach, w bydłących wagonach, jadą oddzieleni przed kościołem – mężczyźni. Płacz, jęki i zawrota, które wywołał ten przejazd, uśmierza pożegnane machnięciem dłoni przesyłane przez zakratowane okienka wagonów. Dygocząc, wjeżdża pociąg elektryczny. Zapelniony tłumem, rusza przy gwizdkach esesmanów. Mijamy puste stacyjki z dużą szybkością. Błyskawicznie pojawiają się i giną za oknami zawiadowcy w asyście żandarmów. Pociąg zwalnia, syczą otwierane drzwi. Wsiadać – krzyczą konwojenci.

Trzeba skoczyć z wysoko umieszczonych drzwi na żwir nasypu. Tumult i zamieszanie. Pomagam wsiąść Heniowi i Jadzi odbierając ich od Mamy. Oni są jeszcze mali, mają dopiero 11 i 10 lat, a tu jest bardzo wysoko i ostry tłuczeń na torach. Brak ojca odczuwamy szczególnie w tej niedoli. Zmarł po jednej z akcji przed dwoma laty – w roku 1942.

Starcy, ranni, chorzy i... cały ten tłum pogorzalców kłębi się wzdłuż pociągu. Pomagają jedni drugim. Pani Wyszyńska, sąsiadka z czworgiem dzieci, z których najstarsze ma pięć lat, prosi o pomoc. Pomagamy jej wsiąść i pilnujemy malców w tłoku. Ruszamy. Wysoki mur, otwarta na całą szerokość metalowa brama. W głębi wielotysięczny stłoczony transport ludzki. Pruszków.

Szeroką falą wchodzimy w gardziel obozu. Czujne oko esesmana dostrzeże wór z konserwami na plecach samozwańczego intendenta punktu. Zabiera worek, rzucając przekleństwami. Ograbiony nie budzi litości.

– Rannych okradał, bo to było dla nich, niech więc i sam nie zre – mówi bardzo głośno jedna z sąsiadek, bo i teraz trzymamy się całą grupą, tak jak nas wyrzucano z naszych staromiejskich domów.

Obóz podzielony jest na części. Pala ludzka niesie nas do wskazanej hali. Stajemy na progu. Cała wypełniona tłumem. Na betonowej podłodze leżą wygnańcy umęczeni nad ludzką miarę. Wysoko na dźwigu, przesuwany kiedyś wzdłuż sali, leżą jacyś śmiałkowie. Zawieszani kilkanaście metrów nad podłogą siedzą i leżą na jego pomoście. Gwar głuzy rozkazy żołnierzy i siostr RGO.

Umywalnia. Okrągłe lastrikowe baseny z ciurkającymi sznureczkami wody. Smród z prowizorycznych szaletów dominuje nad wszystkim

Nadchodzi noc. Siadamy przy wielkim filarze na środku sali. Wokół sąsiedzi i przygodni znajomi. Rozpaczliwe poszukiwania adresów i wiadomości. Ludzie wykrzykują nazwiska, dzielnice, numery domów i nazwy ulic. Pytają wprost, czy nie zna się losu tego jedyne, najbliższego im człowieka. Ktoś obok majaczy w gorączce. Brat i siostra

ostatkiem sił walczą z sennością. Nie sposób, by położyli się na betonie, a maty, okropnej, brudnej, zawszonej słomianej maty na pewno nie dostaniemy. Cały nasz majątek stanowią teraz: garnek z odstrzelonym uchem, bo gdy nas wypędzano, był pod ręką, nożyczki, które zaniezione na punkt sanitarny ktoś przy jego likwidacji nam zwrócił i... serdak, jeszcze z domu rodzinnego, z którym Mama nie rozstawiała się nigdy. Serdak maskotka – teraz najniezbędniejszy. Kawalek baraniego futerka przykrywa beton. Siadamy z obu jego brzegów, malców układamy pośrodku, tak wsparci o nasze kolana, pół leżąc, zasypiają. Salę wypełnia mrok. Powietrze, lepkie, cuchnące wydzielinami i potem, odurza ciepłem tysięcy ciał. Odchylam głowę, opieram o chropawą powierzchnię betonowego słupa. Ktoś prosi o lekarstwo. Nie mamy.

Łańcuchy dźwigów jak stalowe bity wiszą nad tłumem. Ściana na wprost jest przeszklona. W metalowe zbrojenie zamocowano szybki, które teraz sączą światło. Wielki czarno-żółty witraż. W miarę jak nadchodzi noc, światło wzmaga się, intensywnieje. To ludzie hal sąsiednich, których tu przypędzono wcześniej, palą na zewnątrz ognie. Jeśli ktoś przechodzi nad ogniskiem, jego cień, wielki, przesuwa się po szklanej ścianie.

Masę ludzką coraz bardziej powala sen. Gwar traci na sile, staje się monotonną gamą dźwięków. Opada mnie fala ogromnego znużenia. Powieki zaczynają ciążyć. Nagle uszy świdruje przeraźliwy krzyk. Momentalnie podnoszę głowę, nasłuchując jak wszyscy wokół. Podawane z ust do ust wyjaśnienie zwalnia napięte nerwy. To nie Niemcy. To śpiący spadł w czelusć kanału wypełnionego żelastwem. No tak, tu wszędzie są w podłodze dziury po maszynach, kanały reperacyjne, ścieki do wody. Podpieram głowę dłonią. Usypiam.

Po trzech dniach selekcja. Załadowano nas w transport. Spod Główna wróciliśmy pod Warszawę. W miejscowościach Leszno, Błonie, Grodzisk Mazowiecki, Szymanów, Kampinos – żywili nas mieszkańcy życzliwi i solidarni. W styczniu 1945, po ofensywie, stanęliśmy na rumowisku Starego Miasta. Nasz dom, Freta 11, okryty śniegiem, cuchnął pogorzelskiem. W oknach parteru leżały kartki przyćnięte cegłami. Zawierały adresy sąsiadów. Podjęliśmy decyzję – my też nie opuścimy miasta.



FUNDACJA
Moje Wojenne Dzieciństwo

ISBN 83-918451-3-3